

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1870.

Tom czwarty.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1870.





De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава 15 Сентября 1870 года.

K. 35/46.

NIE W PORE.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Teresę Prażmowską.

(Dokończenie).

Liść XLV.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 25 listopada.

Znowu jestem w Podzamczu, ale widać to Podzamcze, będące dla mego brata zaciszem, w którym cały skarb jego szczęścia złożony, dla mnie jest tylko miejscem fatalnym, strefą burz, co nieubłagane wicherzą życiem mojem i nie dając mi chwili spokoju, pchają je dziwnym kierunkiem... Kto mógł przewidzieć że marny fakt powszedniego życia postawi znowu na rozdrożu mnie, który mniemałem, że stoję już u portu i mam przed sobą przyszłość bezpieczną? Jedna chwila... a złudzenie pierzchnęło i znowu bolem rozszalały, mocuję się sam z sobą, chcąc przynajmniej z téj zawiei co burzy mi szczęście na wicki, wynieść nietkniętą godność moją i prawość....

Jechałem tu rad myśli, że znowu moją narzeczoną powitam, i znowu czas dłuższy przy niej bawiąc, czuć będę, jak każda razem spędzona chwila, przywiązuje mnie do istoty w której siła myśli, bystrość poglądu, nie wyklucza

serdecznej słodyczy kobiecej, ale jeszcze ponętniejszą ją czyni. Jechałem, całą siłą obowiązku i przekonań broniąc się wszelkiej innej myśli tak usilnie, że nawet zamgłonym marzeniem nie roziło mi się po głowie nic, co by się nie mogło natychmiast wcielić w rzeczywistość i harmonijnie pogodzić z jej warunkami... Dzień był śliczny, poważny i smętny, choć cały słońcem rozbłysnięty; z czystego błękitu niebios padała światłość blada a przezroczysta, i łamała się tęczowym blaskiem w szronie który okrywał bezlistne już drzew gałęzie. Jakaś cicha tęsknota wiała mi ze świata w serce; jakąś głęboką żalobą skarżyła mi się ta natura, której chłodne promienie słońca nie mogły ze snu przebudzić i wiosennym przepromienić weselem. Ale jednocześnie to mroźne powietrze, co mi z falą wiatru płynęło w piersi, niosło z sobą siłę rzeźwiącą i jakąś moc dobroczynną, działało na mnie uzdrawiającym wpływem swojej pogody i choć smutny, spokojny byłem jak ten, który nie tylko czynem ale nawet pamięcią zerwał już z przeszłością pełną niepokoju bolesnego.

Dojeżdżałem już do Podzamcza, już mogłem dostrzedz wysokie topole, dom i ogród otaczające w około, gdy chcąc skrócić tę niewielką przestrzeń co mnie jeszcze od nich dzieliła, kazałem zjechać z gościńca w wąziutką a krętą drożynę z obu stron płotami ogrodzoną, która wijąc się wśród pól, wschodzącym zbożem rozzielenionych, prowadziła mnie śpieszniej do celu. Cztery moje konie w poręcz zaprzężone, spierając się na sobie, dobrym kłusem przeciskały się wśród płotów, parszkając tylko niecierpliwie ile razy stercząca gałąź zawadziła o ich uprząż, lub po lśniącej sierci drasnęła... gdy wtém, na jednym z niezliczonych zakrętów drogi, niespodzianie, spotkałem się oko w oko z Michaliną. Jechała konno, sama, wracając widać z Podzamcza; spotkawszy mnie wstrzymała konia biegnącego galopem i zapytała furmana:

— Czy będziemy mogli się minąć?

Zakłopotany mój mazur milczał, bo w rzeczy samęj minąć się było niepodobna, tém niepodobniej, że biegiem rozhukane konie kręciły się na miejscu niespokojnie, jakby gniewne na tego przybysza, który na ich widok, stuliwszy uszy, rżał tylko urywanym głosem. Zrzuciłem burkę, która

mnie od chłodu jesiennego bronila i zeskakując z bryczki, pieszczotą i głosem zmuszając orczykowego by mi miejsce zrobił obok siebie, zbliżyłem się do Michaliny. Zdawało się, że mnie w tej chwili dopiero poznała, bo zdziwiona, blednąc spojrziała na mnie, a ręka jej tak drgnęła gwałtownie, że koń znienacka szarpnięty cuglami stanął dęba i przysiadł na tylnych nogach. Schwyciłem go za cugle i głaszcząc biedne zwierzę, całe drżące z bólu i niecierpliwości, zaproponowałem by zsiadła z konia, nie narażając się na niebezpieczeństwo, jakim na tej ciasnej drożynie mogły jej grozić moje konie, które zaledwo mogła utrzymać w miejscu ręka furmana, tak się szalenie rwały, rozdrażnione widokiem jej wierzchowca.

Ale na słowa moje, stanowczo i zimno odparła Michalina:

— Nie widzę dlaczegobym zsiadać miała; na świecie wszyscy znaleźć sobie mogą miejsce, nie tylko ludzie i konie, ale nawet serca ludzkie....

I chciała coś więcej mówić, a oczy jej paliły się gniewnym blaskiem i drżały usta pobladłe, ale ja przerwałem spokojnie:

— Jest wyjątek od każdej zasady; tu miejsca braknie tak, że ani ja nie mogę zawrócić ani pani przejechać.

— Zdaje się to panu tylko—rzekła z obojętnym moich słów lekceważeniem—ja nie wierzę w niemożebność...

I gryząc usta do krwi, szarpała coraz to więcej konia, aż wreszcie po chwili dodała ironicznie:

— Dużo mi na tym zależy, aby panu dowieść że niemożebność nie istnieje... można pokonać silną wolą, wszystko co nam się nią wydaje.

Nie była to chwila do dyskusji i sporów; milczałem, ona mówiła znowu:

— Możemy się oboje pomieścić na świecie, wzajemnie sobie nie zawadzając, chcę pana o tym przekonać i dla tego... przejadę.

— Koniecznic?— spytałem, a widać głos mój i wzrok mówiły jej wyraźnie o trwożnej obawie co mi serce ścisłała, o bolesnym wzruszeniu jakie mi niosły gorzkie jej słowa, bo zawahała się chwilę w odpowiedzi i ostry wyraz jej twa-

rzy zmiękł słodyczą, ale wnet znowu brwi ściągnęła niecierpliwie i sucho a zwięzle odparła:

— Koniecznie; bądź pan łaskaw usunąć mi się z drogi.

Zrozumiałem, że uporu rozdrażnionej kobiety rozsądne przedstawienie nie przełamie, a kruszyć go innymi słowami, miękczyć go prośbą gorącą... nie miałem prawa. Spróbowałem ostatniego środka.

— Pozwól mi pani przynajmniej przeprowadzić swego wierzchowca za cugle. Moje konie znają mój głos i usuną się trochę a widząc mnie pomiędzy sobą i koniem pani, postoją spokojnie.

— Dziękuję panu— rzekła chłodno— przejadę sama. Przywykłam na siebie tylko liczyć i sama sobie dawać rady... Zresztą, mój wierzchowiec musi mnie usłuchać, bo jeżeli nie usłucha namowy, to go szpicruta przekona.

I musnęła szpicrutą nozdrza konia, któremu już z oczu iskry gniewu pryskały. Rozdrażniony, położył tylko uszy po sobie i gryząc wędzidło, ponuro spojrzął z podełba.

— Ja panią samą nie puszcze— mówiłem— to szaleństwo... Grzesz już nie może utrzymać moich koni.

Ale ona poprawiła się tylko na siodle i zwalnając cugle jak do biegu, dotknęła lekko szpicrutą szyi konia, zachęcając go głosem i ruchem. Mądre zwierzę, instynktem ostrzegane o niebezpieczeństwie, które mu groziło zarówno jak i pani jego, cofało się chrapiąc.

— Usun się pan z drogi— rzekła rozkazująco Michalina i tak niemiłosiernie zacięła konia, że ten rżąc z bólu naprzód poskoczył.

— Panie, ja siwym rady nie dam— odezwał się Grzesko, i w téjże chwili szalonym rzutem zrównały się moje konie z wierzchowcem Michaliny, co rozogniony a trwoga nieprzytomny, usiłował się przedostać pomiędzy nimi a płotem. Jednym rzutem oka zrozumiałem straszną katastrofę jaka nastąpić mogła. Zębami i kopytami wzajemnie na tarły na siebie *oszalale gniewem* zwierzęta. Daremnie Grzesz preżył lejee, chcąc swoje w tył cofnąć, wściekłość nad posłuszeństwem brała w nich górę, konie gryzły się i wierzgały a z pośród tego zamętu doleciał miucie głos Michaliny:

— Miałeś pan słuszność, nie mogę przejechać.

Wszystko to stało się w jednym mgnieniu oka, skoczyłem jęj na ratunek wołając:

— Chwyć się pani za żerdź płotu i za płot zeskocz.

Wiem tylko że mi odpowiedziała zmienionym trwogą głosem:

— Nie mogę nogi uwolnić ze strzemia.

To była ostatnia okoliczność z której sobie mogę zdać sprawę. Opowiadano mi potem że w chwili gdy się rzucił pomiędzy konie, wierzgnięciem w piersi trafiłony, upadłem na ziemię nieprzytomny. Przestрах poczciwego Grzesia dodał mu widać siły, bo tak szarpnął lejcami że temu szarpnięciu uległy moje siwki i w tył cofnięte, zostawiły Michalinę w spokoju.

W kilka godzin zaledwie odzyskałem zmysły. Spojrzałem w około przytomnie zdając sobie sprawę z miejsca do którego mnie przeniesiono. Był to dworek ekonomiczny, zamieszkały dzisiaj przez wysłużonego oficjalistę Jerzego. Przy mnie był doktor, ten sam który Jerzego w chorobie odwiedzał: gospodarz poczciwy starszulek stroskany moim wypadkiem i Michalina z twarzą co mi się wydała tak dziwnie zmienioną niepokojem, tak smutną i łagodną zarazem, żem przymknął oczy, bojąc się utracić to złudzenie. Po chwili otwarłem je znowu, spróbowałem mówić, uczułem na piersiach ciężar tak wielki, że osłabione moje siły nie zdołały mu podołać i głosu wydobyć nie potrafiłem.

— Nie męcz się pan mówieniem—szepnęła Michalina, której uwagi nie uszedł mój daremny wysiłek — potrzebujesz pan spoczynku. Czy lepiej się pan czujesz?—spytała po chwili. Skinąłem głową na znak potwierdzenia i ujawszy jęj rękę do ust poniosłem. Doktor stał opodal, stary Ambroży na kominku ogień podniecał, a ona stała przy mnie, odbierając mi zwolna tę rękę, której zatrzymać nie miałem prawa, i czułem że małe paluszki jęj drżą w mojej dłoni dreszczem febrycznym... Zdziwiony, spojrzałem na nią, oczy miała spuszczone a dwie łzy ogromne płynęły jęj zwolna po twarzy... Anielo, nie próbuję ci nawet opowiadać szalonych przypuszczeń, co mi przemknęły przez myśl na widok tych łez, których pierwój domyślałem się tylko. Wiem tylko, że mi w piersiach gwałtownie uderzyło serce i zamęt nieopisany myśli moje ogarnął. Ta chwila wzru-

szenia, co jak piorun uderzyła we mnie. powróciła mi mowę, chwyciłem jęj rękę, pytając:

— Co pani jest? pani płaczesz?

— Ja?... — odparła drżącym trochę głosem, nie chcąc mi jeszcze spojrzeć w oczy — ja nie płaczę: czegożbym płakać miała?

— Prawda że nie ma czego — odparłem z goryczą, dobrowolnie tym razem puszczając jęj rękę — choroba przynosi czasem dziwne złudzenia...

— Przynajmniej dzięki Bogu że i choroba, i złudzenia miną prędko — rzekła zwykłym sobie tonem — byłam przez chwilę mocno niespokojną o pana, ale doktor zapewnia że to niezdrowie wkrótce przejdzie. Pan już niecierpiż?

— Nie, pani — odpowiedziałem jęj sucho i chciałem się podnieść, ale zawiodły mnie siły i zły sam na siebie, musiałem się oprzeć na poduszkach. Michalina patrzyła na mnie z po za długich rzes swoich i takie niebo miała w oczach w tęg chwili, jakby nie z jęj ust były wyszły słowa wymówione niedawno.

Czułem że ta scena przedłużając się, wyczerpie resztę mocy mojęj, więc siląc się na spokój, zapytałem czy ona przynajmniej wyszła zdrowo i cało z katastrofy dzisiejszjęj.

— Jak najzupełniej zdrowo, to wszystko stało się tak prędko, że nawet nie miałam czasu się przestraszyć... Żał mi tylko było pana i zrazu dosyć się zaniepokoiłam, nie miłoby mi było widziéć pana chorym z mojęj przyczyny.

Na to zapewnienie z dziwnym wygłoszone akcentem, nie odpowiedziałem wcale. Cóż miałem mówić? Ona znowu podjęła:

— Z początku chciałam dać znać do Podzamecza, ale po chwili zastanowienia uznałam za niepotrzebne niepokoić ich złą wieścią. Pan może znajdujesz że źle zrobiłam?

I z ogniem w oczach, zwróciła się do mnie po odpowiedź.

— Owszem, bardzo pani za to wdzięczny jestem. W takim wypadku lepiej mieć przy sobie tych którym obojętni jesteśmy, cierpienie fizyczne nie powiększa się wtedy cierpieniem moralnym jakie sprawia trwoga i smutek Kochających nas osób, dziękuję pani za tę ostrożność.

Mówiłem to spokojnie i łagodnie, ale ona zbladła, oczy jej zaiskrzyły się mocniej, potem zaćmiły się chmurą posępną i rzekła mi powoli a cierpko:

— Więc pan myślisz że ci którym chory nie jest obojętny nie umięją nigdy ukryć swego niepokoju i zapanować nad smutkiem, żeby przez to stać mu się użyteczniejszymi?

— Że chcą to zrobić, nie przeczę; ale rzadko im się to udaje pomyślnie, bo trudną jest rzeczą zatajenie prawdy każdej a szczególnie prawdy serca...

— A kiedy właśnie celem i zadaniem kobiety jest zatajenie téj prawdy?—przerwała.

— Dlaczego?—spytałem—dlaczego taić to co jest dobrem i siłą, jeżeli (zawsze powtarzam) jest prawdą a nie przywidzeniem?

— Dlaczego taić?—powtórzyła ze smutném zamyśleniem... dlatego właśnie żeby prawdy jak świętość chowanej ze czcią w głębi serca, nie nazwano przywidzeniem...

Zamilkłem, rozmowa zdawała mi się zawracać na niebezpieczne pole osobistości, czułem zresztą potrzebę opanowania myśli własnych, co biegły szalonym pędem w kierunku sprzecznym z moją wolą. Doktor przybliżył się do mego łóżka i dotknąwszy się pulsu, zadawszy parę pytań, na które nie wiem już co odpowiedziałem rzekł wreszcie:

— Kilka godzin jeszcze w spoczynku a możesz pan wstać i jechać. Ale pani—dodał zwracając się do Michaliny—pani czy zupełnie dobrze się czujesz? czy miniony przestrah nie oddziaływa na panią szkodliwie?

Michalina roześmiała się głośno.

— Widzę masz mnie doktorze za nerwową i wrażliwą istotę. Czyż ta awantura z końmi, o której nawet mówić nie warto, a z której wyszłam bez szwanku, mogła mnie w samęj rzeczy tak bardzo przestraszyć, żeby aż ten przestrah szkodliwe skutki pociągał za sobą?

I dalej śmiała się w oczy doktorowi zadziwionemu tą wesołością.

— A jeżeli pan myślisz—dodała—że mi może zaszkodzić przestrah o pana Zygmunta, to jesteś pan w błędzie, jako osoba obca i obojętna nie doznałam zbyt silnego wrażenia. Zresztą to nawet jakiego doznałam, mogło być

przywidzenie... jak wszystko na świecie. Nie prawdaż panie Zygmuncie.

— Pani sama wiész prawdę najlepiej...

— A panu o nią nie chodzi—podchwyciła i zwracając się do Ambrożego rzekła:

— Mój panie kochany, każ mi pan przyprowadzić konia, muszę jechać do domu.

— Nie może pani jechać konno—odparł starszek—koń pani mocno uderzony w nogę kuleje tak, że stąpić nie może.

— A pańskie konie, doktorze, czy nie mogą odwieźć mnie do Książyna?

— Pani zapominasz—odparł doktor—że po mnie przysłano konie pana Zygmunta i w tej chwili sam jestem na łasce ich właściciela...

— Który je oddaje do rozporządzenia pana—przerwałem.—Czy panu tak pilno jechać?

— I bardzo nawet, panu już jestem niepotrzebny a w miasteczku czeka na mnie pacjent niebezpiecznie chory. Jeżeli pan pozwolisz, to w tej chwili każę zaprzęgać dla siebie.

I wyszedł a Michalina pytała znowu niecierpliwie:

— Jakże ja się do domu dostanę? chyba poszlij pan kogo do Książyna panie Ambroży i każ przyjechać po mnie.

Ale i to pokazało się niepodobieństwem, bo jedyna Ambrożego towarzyszka, stara gospodyni, poszła na jarmark a na tej pustce nikogo więcej nie było.

— To pójdę piechotą—odezwała się po chwili namysłu—mam zaledwie ćwierć mili do domu.

Ale w tej chwili, jakby na przekorę jej słowom, puścił się gęsty drobny deszczyk jesienny. Spojrzawszy w okno, ruszyła ramionami z niechęcią.

— Nie ma innéj rady—odezwałem się na to—jak poczekać aż wrócą z miasteczka konie które odwożą doktora. Niemi pojedziesz pani do Książyna a ja tu przez ten czas poczekam i zupełnie wypocznę.

— Niechże i tak będzie, kiedy nie może być inaczej.

— Więc teraz wierzysz pani w niemożliwość?

Przez długą chwilę patrzyła na mnie w milczeniu; aż zapytała wreszcie:

— Czy to wymówka?

— Broń Boże! chciałbym tylko skłonić panią do uznania prawdy.

— A pan czy ją zawsze uznajesz chętnie? — odcięła mi się z goryczą.

— Zawsze, ile razy instynkt mój i przekonanie jednoznacznie uznają coś za prawdę.

— Cóż trzeba zrobić, żeby skłonić do takiego wyroku instynkt i przekonanie pana? Czy pracy potrzeba długoletniej, czy strumienia łez wylanych, czy wykrzykników i przysięg? jakim dowodem potrzeba stwierdzić prawdę, żeby nakłonić pana do wiary w nią.

— Wiary narzucać nie można — odparłem — z serca płynie i myślą owłada...

— Więc trzeba kochać, żeby wierzyć — szepnęła patrząc na mnie z takim wyrazem, jakby prośby łagodnej, zem zamknął oczy nie chcąc uleźć własnej słabości, nie chcąc jej nawet pokazać, że tak słabym się czuję.

Wejście doktora znowu nam przerwało rozmowę. Zabawiwszy jeszcze krótką chwilę pożegnał się i wyjechał, Ambroży wyszedł do drugiej izby; znowu zostaliśmy sami. Przechywałem że będę brany na wszystkie tortury jakie tylko wymyślić może kobieta dla człowieka, który jej się stał obojętnym, zanim jeszcze ukochanym od niej został... a sam obojętnieć nie może. Perspektywa tego sam na sam przerażała mnie jak groźba męczarni. Przekląłem w duchu przepisy grzeczności towarzyskiej, któremi skrępowany mężczyzna czekać musi cierpliwie, aż nasycona swoją krwawą igraszką, przestanie mu szarpać serce kobieta, co w źle urządzonym społeczeństwie naszym zamiast mieć wspaniałomyślną siłę *równiej*, ma tylko despotyczną władzę królowej, albo mściwą zawziętość niewolnicy.

— Mój Boże! jak to dziwnie czas zmienia ludzi! Po małej chwile milczenia, miękkim półgłosem odezwała się pani Michalina: między słowem wczorajszym a tém które dziś usta wymawiają, leży zapomnienie... jak przepaść nieprzebyta.

Goryczą wzbierało mi serce, chciałem jej powiedzieć, że jeżeli kto, to ona najlepiej o tém wiedzieć powinna i słowem tém, jak wyrzutem cisnąć w jej śliczne szafirowe oczy, zadumaniem przymknięte w tej chwili. Mogłem także po-

twierdzić jój słowa obojętnie, ale ty wiesz Anielo że samemu sobie kłamać się nigdy nie godzi. Milczałem.

— Zapomnienie... nic mnie, nic więcéj... wszak prawda?— powtórzyła uparcie.

— Pani wiesz, że myśl jeżeli nie chce pamiętać, długo mocować się musi ze wspomnieniem, zanim potrafi je pokonać...

— Ale w końcu udaje jój się to zupełnie?—rzuciła mi śmiałe pytanie.

— Czegoż nie dokaże wytrwała i silna wola?—odparłem.

— Pan z doświadczenia sądzisz?

Zawahałem się chwilę w odpowiedzi, ale chcąc prawdą tylko i szczerością zwyciężyć w téj walce na słowa, rzekłem jój po krótkim namyśle:

— Nie, pani... i chciałem więcéj mówić, ale ona przerwała mi żywo:

— Więc dlaczego pan cudzy pacierz powtarzasz?

Dlaczego?... pomyślałem sobie, bo tak cierpię szalenie że chwila jeszcze a przestanę się wahać w wyborze środków które mnie od téj męki uwolnić mogą... Dlaczego?... szalone pytanie kobiece! i z bólu nieprzytomny już prawie czując że tracę władzę panowania nad sobą, pierwszą prośbą odezwałem się do niéj:

— Miejże pani litość nademną!

Zdawało się że ta prośba rozdrażniła jeszcze niemiłosierne szyderstwo kobiety. Roześmiała się cierpkim, przykrym, niepoczciwym śmiechem.

— A to zabawne!—zawołała—ja mam mieć litość nad panem! dlaczego? czy dlatego że pan prędzéj i lepiej umiesz zapominać odemnie?

Niesprawiedliwość tego wyrzutu była krzycząca, alem ja już na to nie zważał, bo głos jój gdy kończyła te słowa, łamał się łkaniem rozżalóném, a rozognione jój oczy we łzach gasły powoli. Chwyciłem ją za obie ręce i zapytałem smutnie:

— Kto z nas dwojga zapomniiał piérwéj?

— Nie wiem—cichutko szepnęła—kto nawet prawdy wiedziéć nie chce, kto ani jedném słówkiem nie pyta o nią, ten pewno zapomniiał piérwszy.

— A kto mi ręczy, że jeżeli zapytam, dowiem się szczerój prawdy?—wybuchnałem z niepohamowaną tym razem goryczą—powiedz pani sumiennie kto mi zaręczyć może? Czy przeszłość co zawiodła nadzieje, na spełnieniu których oparłem był całe szczęście życia? kto mi zaręczy, komu i czemu ja wierzyć mogę?

— Moje słowo nigdy nie zawiodło nikogo—dumnie odpowiedziała Michalina podnosząc twarz pochyloną—ja panu przyrzekłam że zapytana o prawdę powiem ją całą, szczerze i poważnie. Znać zapomniawszy żeś sam żądał tego przyrzeczenia, nie pytałeś mnie pan nigdy, chociaż...

— Chociaż w zakład słowa dałaś mi pani różę —przerwałem—ale nie wiem doprawdy co więcej jest nietrwałe: czy róża co zaledwo dzień jeden zachowa świeżość swoją, czy serce kobiety, co dziś ku jednemu się skłania, a jutro już drugiemu oddaje się na całe życie...

— Ale jeżeli pozna pomyłkę i cofnie się i dobrym, poczciwym żalem jój żałuje, to może warto zapytać co tam leży na dnie w tém sercu kobiecém, które nieraz pamięta wtedy nawet, kiedy ta pamięć jest tylko męczarnią i smutkiem...

Mówiła to wszystko tak cicho a tak cała drżąca, żem zaledwo mógł słyszeć niewyraźny szept słów jój i nie śmiejąc jeszcze im wierzyć, nie śmiejąc tém bardziej domyślać się ich znaczenia, zaciskałem zęby żeby nie krzyknąć z bólu co mi pierś szarpał, albo nie upaść jój do nóg jak szaleniec... z którego zarozumiałości roześmiałaby się może tym swoim śmiechem, co brzmi w uchu jak srebrny dzwonek a serce kalecty jak stalowej broni ostrze.

— A pan mnie o nic nie pytasz—dodała trwoźniej jeszcze snadź milczeniem mojem ośmielona—pan niczemu nie wierzysz... niczemu... nawet łzom moim...

I cała rozplakana, twarz w dłonie ukryła a głos jój rozplynał się we łzach i łkaniu tłumioném...

Aniło, znowu ci powiem, com ci już mówił nieraz; ty nie możesz mieć pojęcia o męce takiej chwili. Ważyć się tak między piekłem a niebem, a nie wiedzieć nawet co niebem a co piekłem jest naprawdę, nie wiedzieć którą iść drogą żeby na niej iść w towarzystwie i szczęścia razem, co najgorsze, patrzeć na ciche, smutne łzy kobiety i nie módz...

nie śmieć wymówić słowa co te łzy uśmiechem osuszy, nie wiedzieć nawet z pewnością jakie brzmienie ma mieć owe słowo o które ona prosi łzami, tą nieprzepartą a słodką prośbą kobiety, to męka której nawet w piekle Dantejskiem nie ma. W głowie mi się kręciło, przez chwilę myślałem że jestem w gorączce, że to snu marzenie tak mnie dręczy okropnie; więc zerwałem się z łóżka na którym położyłem dotychczas i poszedłszy do okna, otwarłem je gwałtownie, pełną piersią zaczerpnąłem powietrza i piłem je długo, chciwie, aż w końcu uciszył się zamęt moich myśli, a krwawą rozpaczłą boleścią ścisnęło mi się serce do boleści przecie przywykłe. I zobaczyłem jasno, wyraźnie że stoję na drodze takiej, z której nie ma innego wyjścia, jak rozpacz beznadziejna dla mnie a gorzki żal zmarnowanego uczucia dla niej lub też w przeciwnym razie... dla mnie ten wstyd, palący, którym piętnuje czoło mężczyzny zawód zrobiony kobiecie, kobiecie co z miłością i wiarą przyszła smutnemu powiedzieć słowo serdecznej pociechy.

I myślałem tak długo... jak długo? sam nie wiem do prawdy. Są chwile spotęgowanego życia wewnętrznego, w których warunki czasu, przestrzeni, przestają istnieć dla nas męczenników wplecionych w koło życiowej tortury; wpatrzonych w tę przepaść jaką jest zbolełe serce ludzkie. Nagle przypomniałem sobie, że nie sam cierpię przecie, że obowiązkiem jest moim zdobyć się na słowo takie, co choć nie będzie wyznaniem ani obietnicą, to jednak dobrą, serdecznym słowem być może.... Zwróciłem się ku Michalinie; siedziała na tém samym miejscu, tak samo twarz miała ukrytą, a ramiona jej drgały ciężkim, spazmatycznym łkaniem. Ukląknąłem przy niej i chciałem oderwać te ręce, poza którymi łzy jej płynęły; chciałem je ucałować, utulić biedną rozplakaną i zaraz potem uciec od niej na zawsze... albo co lepiej na widok tych łez skonać z bólu. Ale ona oparła mi się łagodnie i łkając jeszcze, spytała:

— To śmieszne że ja tak płaczę? prawda?

Biedna istota w sile swojej zwyciężona, chciała jeszcze być gladiatorką odważną; chciała swoim zwyczajem urągać sama sobie... ten widok jeszcze boleśniej muie zranił.

— Płacz Michalino moja—rzekłem, sam prawie łzy czując w oczach—łzy takie nie są kaprysem, nie są śmiesz-

nością, ale Bożem lekarstwem co łagodzi smutek i uświęca; ja ci dziękuję za te łzy twoje, chociaż one bolą mnie ciężko..

I znowu chciałem ją pochylić ku sobie, ale ona podniosła twarz zapłakaną; przez łzy na rzesach drżące, z uśmiechem na mnie spojrzała i zamiast mi dać ręce swoje, zawiązała mi je na szyi uściskiem, pytając z pieśczołą w głosie:

— Czy ty kochasz mnie jeszcze, Zygmuncie?

Aniello! co ja odpowiedzieć jej miałem? jam ją na jedną chwilę kochać nie przestał. Kochałem ją tylko, ją jedyną, miłością namiętną, wyłączną, niepokonaną, którą śmierć chyba wyrwać mi z serca potrafi. Mogłem stracić już nadzieję że mnie Michalina pokocha, mogłem za to mieć do niej żal gorzki i w żalu sam swego serca się zaprzęć, mogłem zostać narzeczonym innéj i uczciwie dotrzymywać tamtéj danego słowa—ale ja Michalinę tylko kochałem! I wiedząc że nie mam już prawa wyznać jej tę miłość moją, ani mając siły kłamać obojętności w obec tych oczu co z takim wyrazem rozkochania i prośby patrzyły we mnie; chmurny, z piekłem w duszy milczałem, myśląc o szczęściu tych ludzi, których wedle bajecznego podania, pożera ziemia otwarta. Milczałem, milczeniem tylko broniąc się i spowiadając się razem przed nią, ale spowiedzi takiéj rozumieć nie chciała Michalina... Więc głosem miękkim jeszcze, ale już drżącym obrażoną dumą kobiety, która dwa razy potrzebuje zadawać pytanie podobne, zapytała mnie znowu po chwili:

— Powiedz, czy ty mnie kochasz Zygmuncie?

Pytaniem tém jak nożem obracała mi w sercu, sama niewiedząc o tém że igra z bronią zabójczą. Ja milczałem ciągle, a wiedziałem przecie że coś odpowiedzieć trzeba; bo chwila jeszcze jedna a ta kobieta teraz uczuciem aż do anielstwa zmiękczone, zesztynnieje znowu dumą szyderską i biczem swojej ironii oboje nas chłóśnie zawzięcie.... Więc czyniąc z pierwszego szczęścia ofiarę, rozplotłem rąk jej objęcie i cisnąc do ust te ręce obie, prosiłem tylko:

— Przez litość, nie pytaj mnie o to, Michalino...

Ale ona wiedząc, że kto prosi zamiast walczyć, ten już zawczasu uznaje się rozbrojonym, nie domyślając się

nawet rozpaczy, która tę prośbę moją wywołała, powtórzyła raz jeszcze uparcie:

— Wszak prawda, ty bardzo mnie kochasz?

I nie podnosząc na mnie oczu, długimi zakrytych rękami, cała szczęścia nadzieją rozjaśniona, cichutko, nieśmiało prawie szeptała mi do ucha słodkiego wyznania wyrazy:

— Bo i ja cię kocham Zygmuncie; kocham cię miłością serdeczną, głęboką, taką co całe życie trwać będzie... i ty wierzysz tej miłości co jest prawdą, równie świętą jak pacierz? ty także powiesz mi wreszcie, że zawsze mnie kochasz jednakowo, że nigdy nie przestawałeś mnie kochać?.. powiesz mi to Zygmuncie?

I jakby zawstydzona słowami co z jej ust wybiegły, rozplakała się znowu, twarz kryjąc na mojem ramieniu. Męczarnia moja trwała już tak długo, a taka była ciężka, że ta chwila zabrała mi sił ostatek. Przestałem być sobą: człowiekiem który ma obowiązki i chce ich strzedz wiernie, któremu na drodze do szczęścia, niezłamana, święta stoi zaporą; byłem tylko człowiekiem który cierpi i pragnie ulgi, jakimkolwiek kosztem kupioną. I zdaje mi się że Bóg sam, miłosierdziem sądząc czyni ludzkie, nie może mnie za to potępić że w walce z sercem własnym, uległem, walką zmęczony... A jednak, jeszcze próbowałem nie uleść, bo na łzy jej i słowa odparłem:

— Michalino, proszę cię, na wszystko cię proszę, przestań mnie pytać o to.

Michalina podniosła na mnie oczy łez pełne i usuwając się odemnie, gryząc usta aż do krwi, spytała głucho:

— Dlaczego mi nie dajesz pytać? czy dlatego żeś pierwszy zapomniał i wstydzisz się za siebie i za mnie że ja pamiętam jeszcze? jeżeli mnie nie kochasz, powiedz... ja nie umrę z rozpaczy...

I wzruszenie głos jej przerwało a usta krzywiły się gorzkim uśmiechem ironii. W takiej chwili, przeniósłszy tyle, szyderstwa jej znieść już nie mogłem. Wziąłem ją za rękę, ale ona z gorącym na twarzy rumieńcem wyrwała mi dłoń gwałtownie i łzom swoim na przekor, rozśmiała się głośno, a w śmiechu jej takie rozdzierające były nuty, że zapomniał o wszystkim, o Julii, o świecie ca-



łym... chciałem tylko żeby ona śmiać się przestała. I musiałem spojrzeć na nią wzrokiem zrozpaczonego szaleńca, bo wyraz trwogi mignął w jej oczach, strwożonym zapytała mnie głosem:

— Co tobie, Zygmuncie mój drogi? I z samolubstwem kobiety, co za miłość żąda miłości, dorzuciła:

— A widzisz! ja wiem że ty mnie bardzo kochasz!

— Kocham—odparłem wreszcie zwyciężony tym serdecznym uporem, szczęśliwy prawie że znalazła broń, którą zwyciężyć mnie potrafiła—kocham cię nad wszystko Michalino; czy ty kiedy mogłaś wątpić o tém?

I okrywając pocałunkami jej ręce, poiłem się szczęściem co promieniało w jej oczach, lubowałem dźwiękiem słów własnych, bo tylko słowa miłości miałem w tej chwili na ustach. Straciłem myśl i pamięć, wiedziałem tylko że się kochamy oboje; że ona sercem do mnie należy: byłem szczęśliwy....

— Dlaczegoż tak długo nie chciałeś mi tego powiedzieć?—spytała Michalina z łagodnym wyrzutem.

Te słowa zbudziły mnie ze snu, musiałem dać na nie odpowiedź wyraźną, uczciwą, dla nas obojga straszną jak miecz Archanioła, co w bramie rajy stoi płomieniem na straży.

— Bo mówić nie mogłem... nie miałem prawa mówić, Michalino — posepnie odparłem — między sercem mojem a słowem stoi obowiązek...

— A prawda! pan jesteś narzeczonym Julii—cicho jęknęła i opierając czoło na skrzyżowanych dłoniach, zamyśliła się głęboko i smutnie. Ja nawet nic myśleć nie mogłem; wiedziałem dobrze, że gdziekolwiek myśl zwrócę, wszędzie własną niedolę napotkam. Klęczałem przed nią ciągle i machinalnie, bezwiednie patrzyłem w konający płomień ogniska. Usłyszawszy szmer zbliżających się kroków, machinalnie także powstałem. Wchodzący Ambroży odezwał się na progu:

— Konie pańskie wróciły, popasły i Grześ czeka na dyspozycją.

Michalina podniosła głowę, oczy jej paliły się gorączką, znużone, smutne a błyskawic pełne, ale rzekła spokojnie:

— Pojadę do domu, bo już się późno robi. Nim konie z Książyna powrócą, nim się pan dostaniesz do Podzamcza ściemni się zupełnie. Czy tam spodziewają się pana dzisiaj?

— Podobno — odparłem, sam nie wiedząc co mówię.

— A! to nie trzeba żeby się niepokojono oczekiwaniem — mówiła tym samym głosem spokojnym, cichym i jak pieszczota łagodnym. Dobranoc panu — dodała, gdy otuliwszy ją, pomagał wsiąść do mojej bryczki; niech ta noc będzie dla nas obojga dobrą i spokojną nocą, choć taka pochmurna jak życie.

I z temi słowami odjechała, a jam został i jakby w to miejsce wryty, przestałem na niém tak długo, aż Grześ powróciwszy, z mazurska zawołał mi nad uchem:

— A cóż panie? może już teraz pojedziemy?

W niespełna kwandras drogi stanąłem w Podzamczu. Jerzy i Tola przyjęli mnie jak zawsze z radością serdeczną; witając pannę Julię, nie śmiałem spojrzeć na nią, bo na jej powitalne spojrzenie nie mogłem przecie powiedzieć takimi samemi słowy, które przed chwilą mówiłem Michalinie...

Od tego wieczoru minęło już trzy dni długie a ja chodzę milczący i chmurny, wążąc się z myślami, pytając sam siebie jakiemu ciężarowi snadniej podołać potrafię. Dziś Jerzy, który się widział ze starym Ambrozym, zagadnął mnie w chwili, kiedy wszyscy byliśmy zgromadzeni:

— Miałeś wypadek dojeżdżając do nas i nic nam o tém nie mówiłeś.

— Nie chciałem was trwożyć daremnie — odparłem krótko, chcąc urwać rozmowę; ale Tola spytała troskliwie:

— Jaki wypadek? cóż to takiego było?

I Jerzy, któremu jak widzę, znajome wszystkie szczegóły tego zdarzenia, opowiedział im rzecz całą, żaląc się głównie nad biednemi końmi mojemi, które i tak już znużone kilkudziesięciomilową podróżą, jeszcze dwa razy z doktorem i raz do Książyna biegać musiały. Przez cały czas jego opowiadania, Julia nie zdjęła wzroku z mojej twarzy, a wzrok ten razem łagodny i pytający, zdawał się wnikać w najskrytsze tajniki mojej myśli. Czy co odgadła? czy się domyśliła czego? ja nie wiem... bo czoło jej

ma jednakową pogodę i z tym co zwykle uśmiechem podała mi rękę na dobranoc, wiem to tylko że podzieliwszy się z tobą moim smutkiem, spokojniejszym się czuję trochę.

Zygmunt.

(w pięć dni później).

Od czasu kiedy powyższe słowa pisałem do ciebie, pięć dni upłynęło, Anielo pięć dni długich i ciężkich do przetrwania jak pięć wieków męczarni. Były chwile, były całe godziny takie, w których mi się zdawało że mi serce pęknie od bólu, myśl się szaleństwem zawróci i że z utratą życia lub myśli, cierpieć wreszcie przestanę... I przyznaję, pragnąłem tego, bo człowiek co ludzkie, bijące serce ma w piersi, nie może być przecie bohaterem niezachwianym i ma takie czarne chwile w których o wszystkiem wątpi a nawet przeklina wszystko co jest obowiązkiem i jako obowiązek chwyta wolę ludzką w karby żelazne i zamyka ją w granicach tak oznaczonych ściśle, że krokiem po za nie wyszedłszy, już z podłością spotkać się można; zamyka w granicach tak ciasnych, że temu co trwa w nich wiernie, łamie się serce uciskiem niewoli... Nie widziałem Michaliny wcale, nie śmiem pojechać do Kniażyna, nie mogę... choć jechałbym taki szczęśliwy! Ona w Podzamczu nie była a myśl moja stęskniona rwie się ku niej co chwila i woli nieposłuszna, do niej tylko ucieka! Straszne jest życie takie! rozdwojenie obowiązku z uczuciem, rozerwanie tego, co Bóg sam ślubem w sercu połączył, by z dwóch tych świętości miłosnego uścisku, szczęście się życia zrodziło! Życie takie na dzisiaj, na jutro, na przyszłość całą... to galernicza dola, to rzecz tak okropna, tak czarna, że chyba wszechprzezorną myśl bożą przerazić i do miłosierdzia zniewolić może! Anielo, miłosierdziem bożem nad sobą nazwałbym śmierci godzinę, śmierci nie zyskanęj przemocą, nie gwałtem samolubnym zdobytej, ale cichęj, dobrej śmierci takięj o której się w pacierzu wspomina, takięj która jest ostatnią a niezawodną nadzieją, tych co już nadziei innęj nie mają.

Zygmunt.

List XLVI.

MICHALINA DONATAŁIL.

Dnia 28 listopada.

Natalio moja, jak to nigdy nie z góry przewidzieć, nic na pewno układać sobie nie można! Ileżto razy w długich godzinach zadumania, wywołując myślą chwilę spotkania z Zygmuntem, zawczasu obrachowywałam każde słowo, każde spojrzenie i czując że nie mogę być sobą, obiecywałam sobie że porzucę dotychczasową drogę sławnych podjazdów i będę z nim tylko spokojnie grzeczną i obojętnie przyjazną, jak nią jest każda dobrze wychowana kobieta z życzliwym sobie przyjacielem. Tymczasem inaczej się stało. Wracając konno z Podzamcza, najniespodziewaniej w świecie, spotkałam na drodze pana Zygmunta. Poznawszy go od razu, nie chciałam się wrócić, boby to miało śmieszna minę,jechałam więc dalej naprzeciw niego, i zbliżywszy się, dopiero spostrzegłam, że trudno nam będzie wyminąć się, na wąziutkiej, płotami ogrodzonej drożynie, gdzie zaledwie jego konie pomieścić się mogły. Stałam więc, pytając jego furmana, co tu zrobić. Znać głos mój dopiero obudził go z zamyślenia, po nim poznał mnie Zygmunt, i witając mnie zeskoczył z bryczki, przedstawiając razem że na żaden sposób niemożna przejechać. Ale mnie, boleśnie to ubodło, że zamyślony nie widział mnie, zbliżając się ku niemu, i gniewna byłam na siebie, bo czułam że źle taję głębokie wzruszenie które mną owładło... Rozdrażniona tém wszystkiém, zamiast rozsądnie z drogi zawrócić, uparłam się przejechać koniecznie i nie mogąc tego zrobić natychmiast, bo pan Zygmunt nie tylko perswazyą ale i osobą zagradzał mi drogę, docinałam mu tymczasem słowami a konia drażniłam szpicrutą. Zrobiłam tyle, że mi się pan Zygmunt ustąpił i koń mój, uderzeniem zmuszony, mimo widocznego ze swój strony oporu, naprzód poskoczył, ale przez rozhukane konie pana Zygmunta, zębami i kopytami przyjęty, nawzajem kąsać i wierzgać począł, nic o tém nie myśląc, że ja widz neutralny i z musu bezczynny, jak najgorzej wyjść mogę na tej końskiej kłótni. Wyznaję, złękłam się bardzo: ani konia cofnąć, ani z siodła zeskoczyć nie mogłam,

ale zlekłam się jeszcze bardziej, gdy pan Zygmunt rzucił się na mój ratunek i mocując się z moim koniem, który dęba stawał, tak kopytem został przez niego uderzony, że padł zemdlony na miejscu. Ani wiem jak i kiedy zeskoczyłam, jakim cudem rozdzielono zażarte na siebie zwierzęta; wiem tylko, że widząc go na ziemi nieruchomym, bez życia prawie, uczułam straszny ból w sercu i głośnym a mimowolnym jęknęłam krzykiem. Nie wiedziałam co robić, jak go ratować, przestрах myśl mi odjął i przytomność, i w tej strasznej chwili płakać tylko umiałam. Na szczęście moje, przechodził tamtędy staruszek, dawny sługa pana Jerzego, mieszkający niedaleko w dworku na leśnej pustce postawionym i zobaczywszy co się stało, przyszedł nam w pomoc. We dwóch z furmanem, włożyli na bryczkę nieprzytomnego ciągle Zygmunta a że do dworku staruszka bliżej było niż do Podzamcza lub Książyna, tam pojechaliśmy zaraz i ztamtąd, złożwszy chorego na wygodném pośnaniu, wyprawił stary Ambroży konie po doktora. Zanim doktor przyjechał, zanim otrzeźwił chorego z pomocą niedostatecznych środków jakie się pod ręką znalazły, upłynęło długich godzin parę, a ja byłam tak niewymownie przerażona, tak cała obawą zdrewniała, że nawet zapomniałam myśleć o ukryciu wrażeń, o panowaniu nad sobą, i płakałam nietajonemi łzami, choć oczy doktora patrzyły na mnie z ciekawém zadziwieniem, płakałam gorzko, boleśnie, jak zawsze płacze człowiek kiedy sam winien nieszczęściu. Serce mi drżało lękiem niewymownym, bo doktor miał minę dość niespokojną i trudno było dopytać się jego zdania, a Zygmunt wciąż leżał bez ruchu.

Oh! te godziny niepewności, jak one mi się nieskończenie długimi wydały! jak mi serce w piersiach radośnie skoczyło, gdy Zygmunt podniósł powieki i przytomném okiem spojrzawszy wkoło, wzrok na mnie zatrzymał! Z początku nie mógł mówić, ale z wolna wróciły mu siły i pierwszym jego słowem było pytanie dlaczego ja płaczę? Zmęczona i spłakana, czułam że mieć muszę łzy jeszcze nieoschnięte na rzesach, ale... moja wina, moja bardzo wielka wina, Natalio, tak schwyтана na gorącym łez uczynku, zawstydziałam się ich, jakby zdrożności popełnionej i mimowoli prawie zaparłam się, jak Piotr Chrystusa się zaparł. W chwilę potem radabym znowu była te słowa cofnęła, bo Zygmunt

jakby niemi urażony puścił moją rękę, ale już nie pora była po temu i znowu tym samym torem idąc, brnęłam coraz dalej po drodze, na której każde dorzucone przezemnie słowo, coraz wyższą zaporę urazy stawiało między mną a Zygmuntem. Wreszcie doktor odjechał, a ja niemając koni, bo mój wierzchowy zakulał, musiałam poczekać parę godzin i zostaliśmy sami. Nie żądaj Natalio, żebym dzisiaj w pierwszej sile wrażeń jakie mi ten dzień zostawił, powtarzała ci szczegółowo, każdy wyraz co wyszedł z ust naszych; nie potrafiłabym uczynić tego... zresztą, ty mnie znasz, ja zawsze byłam zazdrosną o wszystko co stanowi moją własność serdeczną; tak niezmiernie zazdrosną, że w mojem przekonaniu, odkryć istnienie tego skarbu, znaczy prawie to samo, co już lepszą połowę utracić... Więc i dziś nawet, choć tyle rzeczy jest we mnie zmienionych; nawet kiedy mówię do ciebie, którą tak głęboką ukochałam przyjaźnią, nie potrafię przerobić się do gruntu. To ci tylko powiem, że miałas słuszność, droga moja Natalio, twierdząc że łza serdeczna nie jest śmiesznym słabości dowodem, ale siłą która porywa nieprzeparcie, miałas słuszność Natalio. Przez ten dzień cały, tyle wrażeń kolejno następujących po sobie, spadło mi na serce; tak się niemi czułam złamaną, że już łez powściągnąć nie mogłam; nie mogłam przemilczeć tego słowa, co mi jest jedyną pieśnią serca, jedyną treścią życia, świętością jego najdroższą! Nie wiem jakim sposobem i jakimi słowami powiedziałam Zygmunтови że go kocham, ale mu to powiedziałam wyraźnie i bez ogródek, bo mi instynkt jakiś szeptał, że tak a nie inaczej powiedzieć mu trzeba to wyznanie i powiedziawszy, jak dziecko rozplakane, przytuliłam się do niego, nieśmiało i trwożnie na odpowiedź ukochanego czekając i oczekiwaniem coraz to więcej strwożona ostatek sił zebrałam, żeby pytaniem skłonić do odpowiedzi milczącego... I za to moje wysilenie odważne, za to zwycięstwo nad sobą, co mnie tyle kosztowało, dał mi Bóg chwilę szczęścia takiego, że choć drugiej podobnej mieć nie będę, to mi ta jedyna hojnie zapłaciła wszystkie długi, jakie smutkami przeszłości zaciągnęło u mnie życie. Byłam szczęśliwa dobrém serdeczném szczęściem kochającej i kochanej kobiety, bo mi Zygmunt powiedział Natalio, że: „mnie kocha nad wszystko” a w ustach jego takie słowo to rzecz piękna jak

słońce i jak przysięga tak święta... A jam na nie czekała tak długo!... jam już chwilami wątpiła że je kiedy w życiu usłyszę i wątpiąc mówiłam Bogu pocichu, że za to słowo, choćby raz do mnie powiedziane, raz jeden tylko, dam całe życie moje! że prócz niego nic więcej nie chcę, żadnej nadziei budować na niém nie będę, ale modłę się i proszę, żeby mi ono padło na serce, uświęcając jego bicie łagodnym i krzepiącym wpływem swoim!... Bóg też wysłuchał téj modlitwy!.. o! wysłuchał w bardzo ścisłym znaczeniu, bo tylko jedną miałam chwilę taką i gdym budząc się z zachwytu, zapragnęła przekonać samą siebie, że szczęście moje jest jawą, nie chwilowém błogiego snu złudzeniem, to straszna, zimna rzeczywistość bryłą lodu przygniotła mi serce. Przyszynaj ci, jam zapomniła prawie, że Zygmunt jest narzeczonym Julii, ale są chwile w życiu tak poważne, tak święte, że chcąc aby wspomnienie o nich, na całe życie powagę swoją i świętość zachowało, trzeba je oświetlić blaskiem prawdy, nie kapryśnym ognikiem złudzenia, trzeba koniecznie... choćby olśniewająca jasność téj prawdy, była zabójczą błyskawicą piorunu! Więc on który zacnie życie pojmuje, przypomniał mi pierwszy, że go wiąże zamiennie z Julią słowo, a ja zrozumiałam że on przypomnieć mi to musiał i wdzięczną mu jestem że tak uważnie stoi na straży obowiązku swego, i serdeczniej kocham go jeszcze za tę prawość nieskażoną, co jest majestatem mężczyzny i taką samą dostojnością czcigodną jak wytrwała i wierna miłość kobieca!.. Ale Natalio, ja przecie mam prawo poskarżyć się tobie pocichu, że serce moje płacze krwawemi łzami żalu nad tém co myśl z uszanowaniem jako prawdę uznaje? ja mam prawo żałować Zygmunta który tak samo jak ja dzisiaj cierpi, i biblijny urzeczywistniając symbol, we własném sercu stacza walkę z potężnym Archaniołem miłości? Gdyby się złamał w dumnej sile swojej, czy do zwyciężonego mam prawo uśmiechać się radośnie? jeżeli zwycięży bohatercko, czy mi nie wolno jęknąć łzawą, niepocieszoną skargą? czy nawet tego mi nie wolno? Ja już dzisiaj nic nie wiem Natalio... subtelne granice, któremi w sferach przez wzniosłe duchy zamieszkałych, dzieli się *dozwolone* od *zabronionego*, zatartły się w oczach moich... Ty więc mi powiedz, czy miłość która jest dla duszy oczyszczającym chrztem ognia, nie może

być także ogniem który pochłania i spopiela wszystko, co mu staje na drodze i żelazną swoją trwałością nie umie się oprzeć jego pochodowi? Natalio, czy to tak być nie może?

Michalina.

List XLVII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 6 grudnia.

Siostró moja ukochana! są w życiu człowieka chwile takiej burzy, takiego rozstroju, że bohaterem być chyba potrzeba, aby w tym wirze nawałnicy nie utracić wszystkiego, co było dotąd wiarą serca, pewnikiem myśli, przekonaniem w czyn wcielonym usilnie! Jasna świadomość prawdy, dobrze zrozumiane pojęcie obowiązku, póty istnieją tylko, dopóki w człowieku schwyconym w karby praw moralnych i społecznych, a z przekonania tym prawom posłusznym, w dobrowolnym służebniku idei, nie obudzi się człowiek drugi, *ja* samolubne, buntownicze, namiętnością zrywające więzy zasady, pragnieniami niezgodne ze wszystkim, co mu dotąd było obowiązującą życia miarą... biędne, ułomne *ja* ludzkie, krwawém cierpieniem protestujące przeciwko godziwemu uciskowi prawdy. Dlaczego tak a nie inaczej dzieje się w życiu? dlaczego są chwile w których najsilniejsze duchy, w sile swojej warunkami życia zachwiane, chylą się do upadku i upadają nareszcie? dlaczego?... Musi w tém być tajemnica mądrości Bożej, której celem skruszyć dumę człowieka, wykazać nicosć wszystkiego co my skarbami ducha zwiemy, podźwignąć myśl upokorzoną i serce zbolące, wszechmocą pokory chrześcijańskiej, i tylko takiej pokorze, co w prochu czoło kładzie, odsłonić światło ideału! Taki być musiał cel Boży nie inny, a kto nie umie go dopatrzeć, ani zgodnie z wolą Bożą iść ku niemu, ten sam sobie jest winien jeżeli oszaleje zwątpieniem i pogrzyży się w upadku niepodźwignionym!

To niezmiennie wiary mojej wyznanie dziś dlatego powtarzam ci Aniello, bo męką życia złamany, sam stałem na rozdrożu i obowiązku nie mogąc pogodzić z pragnieniem,

z posępną i hardą skargą, w myśli pytałem sam siebie, jaki owoc przyniosły mi lata pracy, której jedynym zadaniem było śledzić opatrzność a mądrą myśl Bożą, w dziejach świata zarówno jak i w dziejach jednostki, w harmonii wszech tworów, zarówno jak i w harmonijnym wszech władz ducha ludzkiego rozstrojeniu? Pytałem dlaczego za tę pracę w miłości podjętą, nie mogę mieć w zamian tego szczęścia które miłość daje życiu? i nie mogąc znaleźć odpowiedzi w myśli, ociążalęj pychą grzeszną, rozpacznie wątpiłem, klnąc samego siebie, że nie poszedł w młodości tym utartym, wygodnym gościńcem, po którym się snuje tłum płytkomyślnych, ale podążył na strome ścieszki, któremi grono poważnych myślicieli pnie się na duchowe wyżyny i zmordowane, krzepi się słowem „*Excelsior!*” Były chwile w których mówiłem sobie, że im kto ma mniej pojęcia obowiązku, tém szczęśliwszym nazwać się może, chwile w których nienawidziłem wszystkiego co mi dotąd było świętością życia, jak każdy nieszczęśliwy, obłąkany byłem i szalony a ta walka w milczeniu się tocząca, paliła mi serce wszystkimi ogniami piekła!...

Węzłami form światowych przykuty do Podzamcza, siedziałem tu niecierpliwym i gniewnym, że nie mam téj bezczelnej odwagi ludzi, co nie lękając się zarzutu podłości, zrywają śmiało każde zobowiązanie dla dogodzenia najbłabszej zachciance. Niewzruszona słodycz Julii była mi udręczeniem i męką, bo w téj słodyczy domyślałem się przebaczenia, a przebaczenie które jest pociechą, jest téż i upokorzeniem razem... Ale za wszystkie męki ludzkie jest ulga w kochającym i czystym sercu kobiety, a póki są istoty zawsze gotowe do cichego poświęcenia, póty wszelkie cierpienie wynikające ze starcia się sprzecznych interesów życia, najskuteczniej takich istot poświęceniem kość się będzie...

Jednego z tych dni ubiegłych, co mi zostały w pamięci wspomnieniem zmory gorączkowej, nie wiedząc co zrobić z sobą, jak uciec od dręczących mnie myśli, w których imię Michaliny ciągnęła zwrotką żalu wracało uparcie, usiadłem do fortepianu. Chciałem utonąć w morzu harmonii, stworzonym przez którego z tych wielkich mistrzów, co dźwiękiem, niby czarem potężnym, całą myśl ciągną ku sobie. Puściłem palce po klawiszach, daremnie... nic sobie innego przy-

pomnieć nie mogłem, tylko prostą a prześliczną nutę téj piosenki którą śpiewała Michalina:

„Se io potessi avez nel mio core
Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore!
Se is potessi avez nel mio petto
Oh! che dolcezza! un lungo sguardo diletto!”

I grając machinalnie zacząłem śpiewać te słowa, a pamięć moja rozręskniona tak w przeszłość biegła uparcie! z taką miłością i żalem goniła śpiewne dźwięki głosu Michaliny, co kilka miesięcy temu, na tém samém miejscu, tą piosenką niby prośbą i razem pieszczotą, odzywała się do mnie łagodnie...

W tejże chwili drzwi się otwały i weszła Julia do pokoju. Ujrawszy ją, doznałem wrażenia, jakiego musi doznawać człowiek na złym uczynku schwytny; zmieszałem się prawie i urywając w pół akkordu, chciałem powstać od fortepianu. Ale zanim zdołałem to uczynić, Julia zbliżyła się do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu, rzekła z nieopisanym wyrazem słodyczy w spojrzeniu i głosie:

— Nie wstawaj Zygmuncie, szukałam cię właśnie mając z tobą do pomówienia i zwabiłeś mnie twoją piosenką... może ci przerywam?

Uderzyło mnie to, że po raz pierwszy od kilku miesięcy jak jesteśmy narzeczonymi, nazwała mnie po imieniu. Nie miałem najmniejszego wyobrażenia o tém co mi ona ma powiedzieć i przypuszczając że to musi być rzecz małej wagi, przymusiłem się do uśmiechu mówiąc:

— Jestem na rozkazy pani.

Uśmiechnęła się i siadając przy mnie rzekła:

— Ja właśnie nie przyszedłam rozkazywać, ale prosić i przekonywać.

— Mnie przekonywać i prosić? — spytałem zadziwiony.

— Ciebie Zygmuncie — odparła — prosić ciebie o rzecz bardzo wielką.

Mówiła to poważna i smutna, ale na czole miała spokój i wyraz woli niezłomnej. Jakieś dziwne ogarnęło mnie przecucie, spróbowałem jeszcze uśmiechnąć się do niej, jakby do nieśmiałego w prośbie dziecka, któremu odwagi dodać potrzeba; spojrzałem w jęj oczy zamysłone, lecz zrozumiawszy

że w tej chwili nie dziecko pieszczone, nie dziewczynka rozkapryszona, ale poważna i woli swojej świadoma kobieta, stoi przedemną, zamiast się uśmiechnąć, rzekłem tylko:

— O co mnie pani masz prosić?

Zdawała się nie zważać że mówiąc do niej, chociaż jej przykładem ośmielony, nazywam ją jednak panią; ale Anielo, mógłbym odezwać się do niej słowem, które wtedy tylko nie jest ubliżającą kobiecie poufałością, jeżeli głęboko uczuta miłość upoważnia do niego mężczyznę? Ona też nie zwracając na to uwagi, czy może zwracać jej nie chcąc, mówiła po chwili namysłu:

— Zanim ci to powiem — Zygmuncie—pragnęłabym mieć od ciebie przyrzeczenie, że nie będziesz się opierał mojej prośbie.

— Dlaczegożbym miał to czynić? wiem dobrze że pani nie możesz pragnąć czego innego jak tego co jest rozumne i sprawiedliwe.

— Sprawiedliwe? — powtórzyła zamyślając się smutnie—zapewne.... to sprawiedliwem być musi... I znowu się zamyśliła dłużej.

Patrzyłem na nią zadziwiony, palce moje błędząc po fortepianie, machinalnie wygrały tę nutę, która mi ciągle dzwoni w uchu, z myślą o Michalinie nierozzerwalnie złączona. Posłyszawszy to, lekko drgnęła Julia i przerywając milczenie spytała mnie z łagodnym wdziękiem swoim:

— Powiedz mi, proszę cię, Zygmuncie, czy dlatego lubisz tę piosenkę, że jest miła uchu i ładna, czy dlatego że brzmieniem swoim budzi w tobie wspomnienia które lubisz?

Wypowiedziała to wszystko jednym tchem, jak ktoś, który się lęka, by mu w pół słowa odwagi nie zabrakło. Zapytany tak wyraźnie, na chwilę nawet nie miałem myśli uwolnić się kłamstwem z przykrego położenia w jakim szczerą odpowiedź postawiłby mnie mogła. Chciałem jednak odwlec tę chwilę i używając wybiegu, odparłem:

— Pani zapewne inną miałaś do mnie prośbę?

— Nie—odrzekła stanowczo choć łagodnie—nie, Zygmuncie, ja tylko to jedno wiedzieć pragnęłam.... a potem.... potem już po tej nitce z łatwością dojdę do kłębka.

Zawahałem się trochę, ale biorąc jej rękę, rzekłem z powagą:

— W samą rzecz, dla wspomnienia przedewszystkiem lubię tę piosenkę, ale do takiego wyznania zmuszasz mnie pani tylko swoim żądaniem, które bądź co bądź, będzie zawsze prawem mego życia...

I czując że kobieta serca, niesamolubna, rozsądna a uczciwości mojej pewna, kobieta taka jaką jest Julia, nie ma prawa już nic więcej wymagać odemnie, z głębi piersi odetchnałem po tych słowach, na wypowiedzenie których trzeba mi było całą siłą woli ośwładnąć serce własne. Jeżeli *obowiązek*, w najrozciąglejszym jego znaczeniu, można nazwać *ofiara*, jeżeli ten wyraz jest prawdą istotną a nie konwencyonalną formułką pychy ludzkiej: to ja ofiarę spełniłem, zrzekłem się nieodwołalnie sam siebie i po raz drugi powiedziałem Julii, że *bądź co bądź* życie moje do niej tylko należy. Zdawało mi się że ona tego tylko pragnąć powinna i dumny żem jej nie zawiódł, a głęboko zbolący żem nie zawieść musiał, zamknąłem oczy zmęczony. I w téjże chwili miętka, malutka dłoń Julii spoczęła na moim czole.

— Zygmuncie—szepnęła nachylając się ku mnie—gdyby żądaniem moim było żebyś wziął to szczęście którego pragniesz nadewszystko, spełniłbyś je? wszak prawda?

Otwarłem oczy i spojrzałem na nią tak zadziwiony, że zdziwienie mowę mi prawie odjęło. Ona widząc to, uśmiechnęła się jasnym uśmiechem anioła, co się ludzkim smutkiem bardzo serdecznie lituje, ale wie że na nie ma w mocy swojej lekarstwo. Chciałem coś powiedzieć, zapytać o coś, ale dłonią zamknęła mi usta, mówiąc:

— Zygmuncie, ja wiem że ty kochasz Michalinę.

— Prawda, kocham ją—odparłem, czując że takię jak ona istocie należy się prawda odemnie—ale pani o tém wiedziałaś i uczucia z którym walczę, nie możesz mi brać za złe.

— Ja też nie uczucie ale walkę biorę ci za złe—rzekła mi na to łagodnie—po co łamać się i walczyć? Zygmuncie—mówiła dalej—widzieć ciebie szczęśliwym, to cel mojego życia, jedyne pragnienie moje. Jak ja, nie cofnęłabym się przed najcięższą ofiarą aby je spełnić, tak też ty, chcąc być szczęśliwym, nie masz potrzeby oglądać się na nie.... Tyś wolny Zygmuncie, zupełnie wolny... Ale bezinteresowności nie ma podobno na świecie, dodała, za te słowa mo-

je musisz mi dać zapłatę.... uśmiechnij mi się szczęściem, Zyguncie....

Jam zamiast uśmiechu, ukląkł przed nią tylko, bo w obec jęj anielstwa nie mogłem znaleźć wyrazu coby jęj był godzien i dłoń jęj która dotąd w mojęj została, podniosłem do ust, z takiem uczuciem, z jakiem żywcem pogrzebany pochwyciłby rękę co mu kamień grobowy odwała. Ona mówiła znouu:

— Nie myśl żebym cię nie kochała sercem całém i tylko przez obojętność zrzekała się ciebie tak łatwo, nie... ja bardzo cię kocham i właśnie dlatego nie mogę znieść twoego cierpienia i żalu....

— Jam cierpiał, to prawda—odparłem—ale w mojem przekonaniu cierpienie nie upoważniało mnie bynajmniej do samolubstwa i nieuczciwości....

— Zyguncie mój drogi—przerwała mi Julia—ja przecież mam prawo rozporządzać twojem życiem.

— Jak najzupełniejsze.

— I mam téż prawo być egoistką, która żąda byś przez nią był tylko szczęśliwy? Nie próbuj spierać się ze mną, ja niezłomnie postanowiłam że tak być musi; że dzięki mnie, Michalinę mieć będziesz. Więc widząc że taki jak ty, drażliwy w uczciwości swojej człowiek, odemnie tylko mieć ją może; wiedząc że ona cię kocha, bo gdyby nie kochała, to ty nie cierpiałbyś tyle, powiedziałam sobie po prostu: muszę poprosić Zygmunta żeby już cierpieć przestał... I oto, proszę cię teraz—to moja pierwsza prosba do ciebie.... wszak mi jęj nie odmówisz?

Głos jęj drżał trochę, ale mówiła spokojnie, cicho, i miała w oczach taką dobroć niebieską, a na ustach taki uśmiech łagodny, że po za tego nieba słodczy niewyczerpanej, nie przeglądała żadna chmura bolesnej i ciężkiej walki z sercem własnem. Byłoby zarozumieniem niedarowanym, gdybym przypuszczał że zrzekając się mnie, wielką czyni ofiarę; ale nawet i w takim razie nie miałbym obowiązku ją odrzucać, bo ofiarę czyniła z pogodą, prawie z radością, cała rozpromieniona anielską dumą poświęcenia... Ucałowałem jęj ręce i rzekłem po prostu:

— Wiesz pani dobrze, że nie miałbym siły odmówić.

— Więc do widzenia Zyguncie—rzekła powstając i podała mi dłonie obie—do widzenia; jedź teraz do Kniażyna i pamiętaj że ze wszystkich praw moich, zachowuję sobie tylko prawo przyjaźni, co dopomina się o swój współudział w każdym ważniejszym wypadku życia.

I dwie łzy jak perły, cicho po jej twarzy spływały.

— O zachowanie tego prawa ja pierwszy prosiłbym panią—odrzekłem, trzymając jeszcze jej ręce i łzy jej widząc wzruszony a smutny, spojrzałem w twarz jej, gdzie spokój był tylko łagodny i cicha, jasna powaga. Uśmiechnęła się do mnie i raz jeszcze szepnąwszy: do widzenia, wyszła z pokoju, zostawiając mnie samego pod wrażeniem, które tak nagle uderzyło we mnie, że zaledwo śmiało uwierzyć prawdzie. Przech czas tak długi, nie widząc w przyszłości żadnej dla siebie nadziei starałem się odwracać myśl od niej; przez czas tak długi czułem jak falę po fali, całe morze goryczy zalewa mi serce, że teraz możliwości szczęścia nie przypuszczałem już prawie. I dziwna rzecz, Aniele! pierwszym moim wrażeniem było jakby przerażenie smutne; zarysy mojej przyszłości znowu rozplływały mi się w oczach przejmując mnie obawą, z której powodów, sam przed sobą sprawy zdać nie umiałem tym razem... Z wielką, głęboką dla Julii wdzięcznością łączyło się coś... jakby żalu uczucie; byłem jak człowiek który ma do wyboru dwa klejnoty piękne. Chcąc jeden z nich ująć, drugi wypuścić musi z ręki, i na tamten czekając, przez chwilę ubogim się widzi... Dziwne jest serce ludzkie! wiecznie spragnione a nigdy pragnienia ugasić nie mogące i niespokojne wiecznie!

Z każdą chwilą niepokój mój większe przybierał rozmiary; wreszcie nie mogąc go przenieść dłużej, kazałem zaprzęgać żeby pojechać do Kniażyna. Ta droga tak krótka że zaledwo się może nazwać spacerem, wydała mi się nieskończenie długą, a gdy już wreszcie dojeżdżał do dworu, kazałem na chwilę wstrzymać konie, bo czułem że mi w głowie myśli wirują i wyskoczywszy z powozu, szybkim krokiem poszedłem piechotą, żeby zmęczeniem fizycznym pokonać gwałtowne wzruszenie, co nadzieją, oczekiwaniem i tysiącem sprzecznych uczuć naprzemian pierś mi rozpierało. Wkoło domu cicho było i głucho, pusto na dziedzińcu, nikt nie wyszedł na moje spotkanie; dom ten zamknięty i milczący

miał minę pustki niezamieszkanój. Ująłem za klamkę i zastukałem gwałtownie raz i drugi; czekałem długo, zanim wreszcie otwarły się drzwi w bocznej ścianie umieszczone, i z za węgła domu, z pękiem kluczy w ręku ukazał się stary sługa Michaliny.

— Niema pani w domu?—pytałem zawiedziony boleśnie.

— Niema—odparł starszek—już kilka dni temu jak wyjechała z wizytą.

I wymienił mi miejscowość o mil dziewięć przynajmniej od Książyna odległą.

— Kiedyż wróci?—pytałem znowu.

— Mówiła że z tydzień zabawi.

Nie było tam co robić dłużej, rad nie rad musiałem wracać. To niepowodzenie mojej wycieczki wydało mi się złą wróżbą; miałem prawie żal do Michaliny że nie umiała przeczuć mojej bytności i przeczuwszy, czekać na tę dobrą wieść szczęścia, którą tak śpieszno mi było jój udzielić. Zniechęcony i smutny wróciłem do Podzamcza. Szara już była godzina gdy wszedłem do pokoju, gdzie się zwykle zbiera całe nasze towarzystwo dla przepędzenia wieczoru. Zastałem tam pannę Julię samą; siedziała wpatrzona w ogień kominka i powstając na moje przywitanie spytała:

— I cóż przywozisz Zygmuncie?

— Nie zastałem nikogo—odparłem—niema w domu Michaliny.

Spojrzała na mnie jakby chcąc widzieć z jakim uczuciem przyjmuję tę zwłokę i po chwili rzekła z nieśmiałością delikatnej kobiety, która nie rada wraca do drażliwego przedmiotu rozmowy.

— Zygmuncie, ty mi tego nie będziesz miał za złe?... Ja potrzebowałam zdać mamie sprawę z dzisiejszej naszej rozmowy, która zmienia zupełnie dotychczasowe jój projekta.

Miała słuszość; ja cały swoją myślą zajęty, zapomniałem o tém zupełnie i dopiero w téj chwili przyszło mi na myśl po raz pierwszy, że trzeba będzie zawiadomić o wszystkiém co zaszło całe nasze kółko rodzinne, obojgu nam zarówno wspólne.

— W samój rzeczy—odparłem—uczynić to potrzeba.

— To téż ja już ze wszystkiemi mówiłam—rzekła Julia— chciałam ci oszczędzić téj przykrości jaką zawsze sprawiają pytania i zadziwienia pierwszój chwili; już wiedzą o wszystkiem i mama chce cię widzieć Zygmuncie żeby ci potwierdzić moje słowa.

Ta kobieta, jak dobry anioł szła przedemną po drodze życia, usuwając zeń wszystko, co mogło być boleścią, trudem lub nawet drobną przeszkodą. Wdzięczność moja była nieopisaną; powiedziałem jój że jest dobrą jak najlepszy z aniołów niebieskich. Spojrzała na mnie jasnym swoim spojrzeniem i po swojemu uśmiechając się łagodnie, rzekła mi na to:

— Każdy jest dobry kto kocha: czy pan nie wiedziałeś o tém?

I od téj chwili, jakby za obcego mnie już uważając, przestała mnie nazywać po imieniu. Pomówiwszy z nią jeszcze chwilę poszedłem do baronowój która dotąd leży w łóżku. Znasz ją, kobieta to rozsądna i zacna, rozsądkiem i zacnością zdrowo pojmująca najzawilsze kwestye życia. Wiedziałem że będzie mówić ze mną poważnie i serdecznie jak matka rodzona i usunie na bok błahe kwestye światowe, wszystkie uboczne, maluczkie względy, któremi tak często wypacza się sąd kobiecy. Nie omyliłem się wcale, pierwsza odezwała się do mnie:

— I cóż Zygmuncie? Julia już ze mną mówiła, ale chciałabym żebyś ty mi jeszcze opowiedział wszystko.

Usiadłem więc obok niój i sumiennie a poważnie zdałem jój sprawę z całej przeszłości mego serca. To samo co mówiłem Julii, prosząc o jój rękę, powiedziałem dziś matce, dodając że najcięższa z samym sobą walka nie wydawała mi się powodem upoważniającym mnie do własnowolnego odzyskania mojej wolności.

— Ależ Zygmuncie—odparła mi na to baronowa—ty się tak uniewinniasz, jak gdyby ktokolwiek chciał ci winę przypisywać. W téj całej sprawie znalazłeś się jak człowiek uczciwy, boś nie łudził Julki obietnicą miłości: nie miała prawa wymagać jój od ciebie...

— Pauna Julia jest godną uwielbienia istotą—przerwałem—i miłości jest godna serdecznój... Mojaż wina że nie byłem już panem mego serca wtedy, gdy raczyła przyjąć moją rękę?

Baronowa nie zważając na mój wybuch, mówiła dalej:

— Tys ją nie łudził, ona tylko łudziła się sama. Dziecko życia nieświadome, myślała przez chwilę że smutnemu być pociechą, to tylko początek tej drogi miłosnego poświęcenia po której idąc, kobieta miłość wreszcie obudzić potrafi. Omyliła się i cofnęła przed zbyt trudnym zadaniem, chociaż...

I zawahała się pani baronowa, bo widać matka, gdy jej trzeba wyjawic serdeczną tajemnicę córki, płoni się nieśmiałym wstydem dziewczym, ale po chwili znowu mówiła dalej:

— Chociaż Julia bardzo cię kocha Zygmuncie.

— Wiem o tém — odparłem — i tego wyznania niechciój mi pani poczytywać za śmieszne samolubstwo, bo jest tylko nowym hołdem złożonym pannie Jullii. Kobieta mniej prawdziwie kochająca, byłaby obojętniejszą na moje szczęście.

I całując rękę baronowej, dodałem:

— Chciój pani powiedzieć jej odemnie że mój głęboko wdzięczny za szczęście które przez nią mieć będę a więcej jeszcze za to, że mój w niej ujrzał ideał zacności kobiecój i te wielkie skarby serca, co są niewyczerpanym źródłem siły...

I do głębi serca wzruszony, przestałem mówić. Baronowa przeżegnała mi czoło krzyżykiem jak wtedy gdy oboje pochyliliśmy się do jej kolan i rzekła:

— Ja wierzę że dziecko moje nie będzie nieszczęśliwym, ale jej to powiem Zygmuncie, bo wiem że jedna więcej siła przybędzie jej z tych słów twoich, a w życiu nigdy zanadto mieć nie można siły... Błogosław ci Boże, mój Zygmuncie, a pierwsze błogosławieństwo które dziś odbierzesz, oby ci mogło najwięcej szczęścia przysporzyć.

I ze łzami w oczach, z macierzyńskim uczuciem uściśkała mnie zacna kobieta. Jerzy i Tola w tej chwili prawie nadeszli. Wiedziałem że już byli o wszystkiemu wiadomieni i parę słów nam wystarczyło do zupełnego porozumienia się. Niebawem i pauna Julia przyłączyła się do nas. Wieczór zszedł nam swobodnie i miło, czułem że po raz pierwszy oddawna pełną piersią oddycham, czułem że zaczynam wierzyć w szczęście. I tak mi z tém uczuciem dobrze było!

Wedle wyliczenia starego sługi, Michalina za trzy dni dopiero z powrotem będzie. Dla ukojenia téj niepewności, co mi się z każdą godziną coraz nieznośniejszą stawała, napisałem do niéj i w pogoń za nią, posłałem list mój. Spokojniejszy więc trochę czekam jéj powrotu... Wiem, wątpić o tém nie mogę że Michalina mnie kocha, ale mimo to, chcę poczekać na szczęście moje, żeby go stać się godnym, chcę zapomnieć o wszystkiém co przeboleiałem, żeby z myślą nierozłamana, spokojną, ręka w rękę stanąć do pracy życia. Dla ludzi którzy wiele przecierpieli, nagłe przejście do szczęścia bywa tak samo zabójczém jak dla organizmu fizycznego, wszelki gwałtowny przewrót warunków życiowych. Boleść nie zabija, ale szczęście upaja tych, co chciwemi ustami do kielicha jego przyłgnęli. Michalina wtedy dopiero zostanie moją, gdy oboje oswojeni z nadzieją szczęśliwéj przyszłości, uleczeni z żalu i smutku co nam tak długo ranił serca, z trzeźwą i poważną radością, w pełném zdrowiu wszystkich moralnych władz umysłowych, we wspólną przyszłość spojrzymy, gdy jasno widząc cele i obowiązki nasze, na dokładném ich zrozumieniu, więcej jeszcze niż na miłości naszej opierać będziemy szczęście życia. Dlatego téż dzisiaj, donosząc jéj tylko że mam już prawo prosić ją o wszystko, o nic nie prosiłem jeszcze i dziwnie szczęśliwy jestem przekonaniem że żadnéj mojej prośbie nie odmówi już Michalina, że każde jéj słowo do mnie wymówione, będzie tą *rzeczywistą prawdą jéj myśli*, o którą przez czas tak długi pytać nie mogłem.

Zygmunt.

List XLVIII.

JULIA DO ANIELI.

Dnia 5 grudnia.

Przed panią, kochającą Zygmunta tak bardzo głębokim przywiązaniem, czuję się w obowiązku zdać sprawę ze wszystkiego co zaszło między nami, a o czém już zapewne Zygmunt musiał panią uwiadomić. Chcę się tylko przed panią wytłumaczyć z powodów które mnie do takiego kroku skłoniły, chcę żeby słowo pani, zgodne z sumieniem

mojém, powiedziało mi raz jeszcze że zrobiłam dobrze... To uznanie będzie mi radością i siłą, byłoby mi nawet pociechą gdybym już nie miała téj największej, jedynéj, upragnionéj pociechy, że Zygmunta będę widzieć szczęśliwym. Były chwile w których łudziłam się myślą że miłość jego dla Michaliny, nie żywiona żadną nadzieją zwolna przeminie, ustępując miejsca w jego sercu uczuciu innemu które tym razem dostałoby się mnie, kochającéj go tak serdecznie. Dziś zobaczyłam że to jest niepodobieństwem... Zostało mi więc tylko gorące, nieprzeparte pragnienie szczęścia dla niego, szczęście które po części moję n będąc dziełem, zmuszało go niejako do życzliwéj dla mnie pamięci. Widoku jego cierpienia i téj strasznej walki jaką toczył sam z sobą, nie mogłam prznieść... to rzecz tak okropnie ciężka patrzeć na cierpienie ukochanego! taką słodczą napelnia się serce na myśl że ja mogę w radość to cierpienie zamienić! Uczyliłam więc to, co mi się wydawało konieczném i sprawiedliwém, a choć nie bez żalu żegnam wymarzone nadzieje przyszłości, choć oddaję całe szczęście swoje, to jednak oddaję je chętnie, spokojnie i z wiarą głęboką, że po nad zamęttem spraw ludzkich góruje miłosierdzie Boże, które pogoda myśli, cichém rozradowaniem ducha, błogosławi tym, co ufają w miłosierdzie nad sobą.

Julia.

List XLIX.

ZYGMUNT DO MICHALINY.

Dnia 5 grudnia.

Byłem u pani i niezastawszy jéj w domu, a nie mogąc cierpliwie doczekać się jéj powrotu, przesyłam pani te słów parę. Zanim panią zobaczę i wypowiem jéj wszystko, co musiałem w sercu tać tak długo, chcę tylko przypomnieć pani że ostatnie nieodwołalne słowo co stanowi o całej przyszłości szczęścia dla dwojga kochających się ludzi, nie zostało jeszcze wymówioném pomiędzy nami, a wymówioném być może. W łzach twoich Michalino, nietylko jest prawda serdeczna od którój mi serce rośnie radością i dumą; ale także i siła zwycięzka co złamała wszelkie zapory jakie

dotąd istniały między nami. Wolny od wszelkich zobowiązań przychodzę do ciebie, przychodzę szczęśliwy, rozkochany; ale ubliżyłbym powadze i świętości mego uczucia, gdybym ci nie powiedział Michalino że dzisiaj, mniej cię kocham, niżeli z początku kochałem, w owych pierwszych chwilach poznania kiedy jeszcze wspomnienie przebole-
 łych smutków nie stało między nami, jak cień skarżący się pocichu. Nie dziw się tym słowom Michalino, tyle bólu i goryczy zmieszało się z miłością moją, że chociaż niepokonana, gorąca, nie jest już tak wspaniale w swojej sile spokojną, jest we mnie gorączką i burzą a powinna być ciepłym życiodawczym i rosą dobroczynnie rzeźwiącą. Powtarzam i proszę nie dziw się temu Michalino, nie bierz mi za złe szczerości z jaką się odzywam do ciebie; przeciwnie, niech ci ona będzie nowym dowodem uczucia i tego serdecznego uczczenia, z jakim każdy prawdziwie kochający mężczyzna patrzy na miłość swoją... Tak długi czas, zrozpaczony, ja mogłem tylko myśleć, że miłość moja będzie mi męką całego życia, cieniem wszystkich jego światłości, że wedle słów poety będzie: *wichrem obrywającym sady moje*; powiedz sama Michalino, czy mogłem myśleć inaczej?...
 Więc też trudem się zwątpieniem, jedna po drugiej tracąc te wszystkie moce ducha, dla których właśnie miłość powinna być pełnią rozkwitu tak, żeby ten gość Boży zstępując w serca ludzkie, znalazł je bogatym we wszystkie skarby, wszystkie zacności jakimi człowiek do ideału się wznosi, i widząc że mu w takim sercu dobrze, już w nim zamieszkał na zawsze. To praca która oboje nas czeka zarówno. Michalino, przyszłość do nas należy i przy wspólnej dobrej woli naszej, najśmielsze marzenia szczęścia urzeczywistnić nam może. Jak mi ból i gorycz z serca odejdą, jak zapomnę o tym zwątpieniu co przez tak długo było ujmą wielkości mego uczucia, czy wolno mi będzie znów prosić ciebie o ten ciepły, rozplakany uśmiech co mi już dał szczęścia tyle? czy mi pozwolisz powiedzieć sobie: Michalino, bądź moją na całe życie; na życie miłości, co powszednim trudom żywota nadaje świętość missyi społecznej, na życie szczęścia co ułatwia trud wszelki i nie dopuszcza znużenia?

Zygmunt.

List L.

TOLA DO MICHALINY.

Dnia 5 grudnia.

Michalino kochana, Zygmunt wyprawia posłańca z listem do ciebie a przy tój zręczności i ja tóż wtrącam parę słów moich, choć wcale nie jestem o to proszona. Ale zdaje mi się Michalino, że przyjazny nasz stosunek niejako mnie do tego upoważnia i dlatego do listu Zygmunta objaśnienie dołączam i prośbę. Wiem że oboje należycie do tych ludzi, którzy nie umieją być szczęśliwymi po prostu, i nie chcąc chodzić utartym pospolitości gościńcem, z krwawym trudem dobijają się do celu, który przy wspólnój dobrej woli można było osiągnąć z łatwością. Nie bierz tego za wymówkę Michalino, nie chciałabym nigdy cię obrażać a témbardziej dzisiaj, kiedy mam nadzieję że cię może niedługo moją bratową powitam, i że ten cały dramat, co wam obojgu serca rozdzierał, dojdzie do tój prostój, widnej najlepszej życia konkluzji, jaką jest małżeństwo dobrane. Najdrażliwsza w świecie delikatność nie mogłaby wyszukać żadnej do tego przeszkody: Zygmunt nie sam zerwał, ale go Julia ze słowa zwolniła, prosząc prawie by szczęście chciał przyjąć, by uwierzył w jego zupełną godziwość i nie krępował się na całe życie względami wygórowanej uczciwości. Jest więc wolny, jedyną wolnością z którój taki jak on człowiek korzystać może: to objaśnienie które ci dać miałam. A prośba moja: Michalino, prośby domyślisz się z łatwością. Jeżeli prawdziwie kochasz Zygmunta, daj mu to szczęście o które on cię prosi zapewne, ale o które także niemniej usilnie prosi cię przezemnie Julia. Nacierpieliście się wszyscy ile sił starczyło; zmiłuj się Michalino, nie zmarnuj skarbu nabytego tak drogo i każ milcząć wygórowanej drażliwości pojęć; a bierz dar Boży, bo szkoda tracić rzecz taką, za którój utratę do nikogo, tylko do siebie żal mieć będziesz. Wierzaj mi, Michalino, wyrafinowanie uczuć a prawdziwe pojęcie obowiązku, to dwie rzeczy całkiem od siebie różne. Na ostatniej gruntuje się szczęście i bez niej istnieć nie może; pierwsza, istniejące już zburzyć tylko

potrafi jak nierozważny miłośnik sztuki, coby chciał ciosowe ściany domu zamienić w przezroczyście rzeźb koronkę i spowodował przez to upadek całego gmachu. Może ty mi masz za złe, że ja ci mówię to wszystko, ale Michalino... patrząc na Julię, pragnęłabym przynajmniej żeby jej odwaga opłacała się szczęściem Zygmunta, który przez ciebie tylko szczęśliwym być może.

Tola.

List LI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 8 grudnia.

Po napisaniu do ciebie ostatniego listu, niemogąc się doczekać odpowiedzi twojej, nie mogąc wytrzymać w tym pustym domu gdzie dzień i noc z nieodstępnym pasowałam się cierpieniem, zapragnęłam choćby przemocą nadać inny kierunek mojej myśli i wyjechałam w odwiedziny do domu w którym wiecznie tak ludno, wesoło i gwarno, że dostawszy się raz w ten wir zabaw, rozrywek i wesela, człowiek zatracca myśl swoją i nie zdaje sobie sprawy z życia. Udało mi się to nieraz, myślałam że i teraz się uda. Omyliłam się jednak. Myśl od której uciekałam, gonika za mną uparcie, chciałam się śmiać wesoło a zamiast uśmiechu na ustach, miałam tylko łzy w oczach i niewymownie zmęczona, szukałam wymówki żeby ztamtąd uciec jak najprędzej. Dostarczył mi jej posłaniec z Podzamcza, przywiózł mi bowiem listy od Zygmunta i od Toli, których kopie załączam ci tutaj. Nie odpisałam ci dotąd, nie dlatego żebym już stanowczo, nie ułożyła treści mojej odpowiedzi, ale dlatego... że mi do tej odpowiedzi sił braknie, Natalio. Bo widzisz, droga moja; po głębokim i sumiennym rozmyśle, ja zobaczyłam jasno że nie mogę zostać żoną Zygmunta: nie mogę i nie powinnam przyjąć ofiary Julii. Byłoby niesprawiedliwością i egoizmem grzesznym, żebym ja z której winy cierpiał Zygmunt tak długo, cierpi Julia dzisiaj, żebym ja powiadam, brała dla siebie takie szczęście wielkie i śliczne, takie życie nad które piękniejszego wymarzyć nawet nie można. Za winę swoją

pokutować powinnam i pokutować będę, bo nieodwołalnie postanowiłam powiedzieć Zygmuntovi to wszystko co tobie mówię teraz. Napiszę mu to wszystko... jasno, wyraźnie, spokojnie, żeby widział od razu że to niecofnięte słowo mojej woli, nie zaś przejściowego kaprysu wybryk. A potem? co potem będzie, Natalio?... ja sama nie wiem; nie wiem co zrobię z życiem, ze wspomnieniem i myślą; nie wiem czy się głośno rozplaczę, czy potrafię milczeć spokojnie, czy może przyjdzie chwila taka, że z tego co dzisiaj odczuwam, rozesejmię się głośno a drwiąco? Nie wiem... wszystko to być może: wewnętrzne życie kobiety własną jej winą raz z właściwego toru wypchnięte, dziwnymi idzie drogami! a koleje jego są tak rozpaczliwie smutne, że smutek winę odkupować musi przed Bogiem!

Czuję że odebrawszy ten list, odbijający bezład moich myśli, zapagniesz zaraz do mnie przyjechać: proszę cię, nie rób tego. Słowem, namową, prośbą, niczém w świecie nie zmienisz mego postanowienia, bo w niem widzę sprawiedliwość, którą niestety, sama sobie wymierzyć muszę; woli mojej w tym względzie nie złamiesz, a mówiąc o rzeczach bolesnych osłabisz we mnie tę trochę siły, która podtrzymuje mnie jeszcze. Proszę cię także na wszystko, pozwól mi nie wspominać już nigdy w listach naszych wszystkiego, co życie moje zламаło, nie sięgaj pytaniami w tę ranę serdeczną, tak głęboko otwartą, tak śmiertelnie bolesną... Więcej bólu niż go dzisiaj mam w sercu nie potrafiłabym już przenieść a wspomnienie będzie mi nową, większą jeszcze boleścią. Może jak tyle innych i ja zapomnieć potrafię... będę się o to starała, może mnie ogarnie ta bezmyślna apatya, która odrętwia wszystkie władze ducha... co bądźby na mnie nie przyszło, będzie mi z pewnością znośniejszém niż uczucie które mną w tej chwili owłada. Jeszcze dni parę nie odpowiem Zygmuntovi, jeszcze sobie zostawiam możność łudzenia się myślą że to wszystko straszny sen tylko... potem i tej nawet pociechy mieć nie będę. Nie wiem nawet czy zobaczymy się jeszcze... gdyby Zygmunt chciał mieć litość nademną, nie przyjeżdżałby już wcale po odebraniu mego listu... a jednak nie widzieć go więcej i rozłączyć się na zawsze nie pożegnawszy się słowem i spojrzeniem, to także jest rzecz okropna i nie wiem doprawdy co gorsze... O! czemuż ja nie mam tej

spokojnej siły którą Julia mieć musi! dlaczego ja kocham Zygmunta miłością taką co rzec się go nie umie a zatrzymać na wieki nie może? dlaczego widząc obowiązek cofam się przed nim strwożona?... Ale nie cofnę się, bądź spokojna Natalio, dojdę do końca i pokażę Julii że jeżeli ona kocha Zygmunta aż do poświęcenia *siebie* dla jego szczęścia, to ja kocham go także, aż do poświęcenia *nas obojga*, dla obowiązku jaki na nas wkłada ta dumna uczciwość, co nikomu gruntować swego szczęścia na ofercie rozdzierającej serce czyjeś, nie pozwala... choćby szczęście na takiej podstawie oparte, miało być trwałem jak wieczność i pięknem jak Bożego nieba jasności!

Michalina.

List LII.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 13 grudnia.

Jeżeli kiedykolwiek przeraziłam się aż do osłupienia, to niezawodnie wczoraj, odebrawszy twój list Michalino. Chciałam zaraz jechać do ciebie żeby cię gwałtem powstrzymać na brzegu téj przepaści w którą dobrowolnie skaczesz, wstrzymało mnie wyraźne twoje żądanie aby cię samą zostawić. Rada nie rada muszę szanować twą wolę i uczynić jój zadość... ale cię na wszystko proszę i zaklinam, namyśl się jeszcze, nie postanawiaj nagle, nie przybijaj siebie na krzyżu, kiedy bez męczeństwa obejść się może i nie gub was oboje takim gorączkowym pośpiechem w spełnieniu przedsięwzięcia, co miłosierdziu Bożemu nad wami odejmuje możliwość działania. Zastanów się, czy to co ty nazywasz obowiązkiem, nie płynie z dumnego samój siebie przecenienia, czy nie jest tą pychą wyrafinowaną co woli boleść beznadziejną niż cudzej ofiary przyjęcie? pychą która własne serce zabija rozpaczą dlatego tylko żeby nie być upokorzoną cudzej ofiary wzniosłością? Michalino, na miłość Boga, nie zamykaj za sobą wieka trumny, kiedy jasne, gorące słońce szczęścia może ci zaświecić nad głową. O! gdybym ja była z tobą! przekonałabym cię że moje twierdzenia oparte są na opoce prawdy Bożej! Wszak znasz mnie dawno i dobrze,

wiesz że tam nawet, gdzie mi chodzi o szczęście ukochanych, nie śmiałabym wchodzić w targi z sumieniem i widząc że spełniasz obowiązek gorzki, ciężki, nad siły prawie, ale *obowiązek* to jest wola Bożą, nie śmiałabym cię wstrzymywać na brzegu téj przepaści w którą skaczesz ze skrzyżowanemi na piersiach rękami i dobrowolnie zabijasz w sobie wszystko co najgorętsze, najcudniejsze masz w sercu. Michalino, ty nie masz prawa sama sobie być sędzią i wykonawcą wyroku śmierci, bo wyrok ten nie na ciebie jedną spada; zkąd ty masz prawo rozporządzać życiem cudzém? a jeżeli nie chcesz brać szczęścia kupionego za cenę łez Julii, czy możesz trzy osoby zamiast jednéj poświęcać łzom i boleści? Słuchaj, zastanów się dobrze co robisz, poświęcenie siebie dla zasady (nie dla osoby nawet) jest rzeczą piękną, Chrystusową, ale trzeba żeby ta ofiara nie została bezowocną, nie chybiła swego celu, inaczéj jest szaleństwem, lub powtarzam ci, grzeszną, niedobrą pychą. Komu z ofiary twojéj szczęścia przybędzie? czy Julii? czy chcesz jéj zwrócić tę przyszłość którój ona nie dla ciebie ale dla Zygmunta się zrzekła? Kobiéta z sercem jaką jest Julia, zwrotu tego nie przyjmie i chociaż jéj własne szczęście jest tylko podrzędną kwestyą jéj życia, to przecie jéj nawet zbraknie odwagi skazać się na taką straszną męczarnię jaką jest widok rozpaczy i żalu ukochanéj osoby. Gdyby dziś poszła za Zygmunta, cierpiałaby sercem, dumą, godnością osobistą, cierpiałaby nad wszelki wyraz ludzki, widząc że ukochany przez nią człowiek złamany, zbolały, został tylko cieniem żyjącej istoty wiecznie drgającym od bólu i że ona któraby życie za niego dała, nie na ból ten poradzić nie może. Więc widzisz: ofiara którą ty nazywasz sprawiedliwą, byłaby dla Julii bezskuteczną, bezskuteczną także dla Zygmunta, przyniosłaby boleść jéj, jemu i tobie; powiedzże mi na co ona jest potrzebną? w imię jakiej zasady i na jakim ołtarzu ją złożysz? Wolno tobie saméj poświęcać się do woli, ale ta wolność ustaje tam, gdzie poświęceniem siebie ściągasz boleść na drugich. Zygmunt to ideał prawości i zacności, gdyby nie czuł się wolnym w głębi sumienia swojego, nie powiedziałby ci nic więcéj nad to wyznanie miłości, które zdobyłaś na nim przemocą łez twoich; musi on wiedziéć niezawodnie że ma prawo zapragnąć szczęścia, dlaczego na sądzie jego nie

chcesz polegać i kochając go, hardą myślą prawdy w jego postępkach śledzisz?

Jeszcze jest punkt jeden na którym przekonałbym cię chciała. Powiadasz mi: pozwól mi milczeć. To zupełnie jakbyś w mogiłę kładła się żywa i prosiła: nie budźcie mnie, bo mnie wszystko boli. Michalino, boleść zazdrośnie tajona w kryjówkach serca, powoli w jad się zamienia i jadem swoim zatruwa moralny organizm. Milczeniem nie uleczysz się z boleści, zdrętwiejesz tylko na chwilę. Takie milczenie grobowe osamotni cię więcej jeszcze, pozywa wkoło ciebie i tak nieliczne węzły serdecznych stosunków twoich, stworzy ci jakiś ciemny świat, po którym chodzić będziesz sama jedyna i od reszty Bożego świata odgrodzi cię przepaścią szeroką, której ty nie będziesz mogła lub chciała przeskoczyć a tym co cię kochają zabraknie śmiałości żeby się zbliżyć do ciebie i zostaniesz samotna, mocując się z boleścią której tak trudno podołać; a jeżeli ją sama pokonasz, to mi cię jeszcze gorzej żal będzie, bo zostaniesz martwą powłoką z której wszelkie życie uciekło. Nie położy cię boleść na marach, cierpienie nie uspi ciebie spokojnym snem mogiły. ale ztruje ducha twego goryczą, wszystkie jego potęgi zmarnuje, zabije, zniweczy! Od takiej śmierci jabym cię obronić chciała Michalino, mów, płacz, skarż się, wspominaj, żyj boleścią, ale nie syp mogiły po nad sobą, raz w życiu poznaj potrzebę i słodycz szukania podpory poza sobą; w przyjaznym sercu, we współczuciu prawdziwem, nie we własnej woli jedynie, a przedewszystkiem zastanów się dobrze zanim staniesz na drodze z której zawrócić niepodobna; zastanów się nie nad własną tylko przyszłością, ale także nad przyszłością, tych dwojga ludzi, których szczęściem tak szafujesz nieopatrnie. Pamiętaj że siebie ani drugich niewolno zabijać cierpieniem, że tylko w imię szczęścia ukochanych lub w imię obowiązku godzi się iść na spotkanie boleści i rzucać swoje życie na pastwę tęsknocie, łzom i smutkowi.

Natalia.

List LIII.

MICHALINA DO ZYGMUNTA.

Dnia 10 grudnia.

Zygmuncie, tydzień już prawie dochodzi jak list twój odebrałam i do domu wróciłam. Dlaczego ci nie odpisałam? dlaczego w godzinę po moim powrocie do Książyna, nie dałam ci znać o tém, prosząc byś natychmiast przyjeżdżał? Jeżeli mnie o to zapytasz Zygmuncie, to ci powiem że skazany na śmierć człowiek, choć wie doskonale że ratunku ani miłosierdzia nie ma już dla niego, że wyrok na nim ciążyący jest nieodwołalny, radby jednak cofnąć chwilę w której ten wyrok będzie wykonany... tak samo i ze mną się dzieje. Jeżeli nawet twoje słowa Zygmuncie mój ukochany, nie mogą mnie upoważnić bym brała całą przyszłość szczęścia z przekonaniem że biorę rzecz słusznie mi się należącą, to widac przyszłości takiej być dla mnie nie może, widac własną winą straciłam prawo wejść do tego nieba, które mi twoja miłość otwiera, a do którego drogą łaski wejść nie chcę... Ja wierzę w sprawiedliwość kolejami życia rządzącą, obawiałabym się więc ciągle utracić to, co zmarnowałam jako dziedziczną własność moją i dziś tylko jako dar odzyskuję napowrót. Że mnie to postanowienie kosztuje więcej niż chcę i mogę ci powiedzieć, o tém chyba nie wątpisz Zygmuncie. Gdybym się nie bała tém wyznaniem przyczynić tobie boleści, tobym ci powiedziała że rozboleła są we mnie te wszystkie *fibry* które w myśli i sercu kobiecém boleć mogą, gdybym się nie lękała widoku twego cierpienia prosiłabym cię: przyjeżdż niech cię zobaczę, pożegnaj i powiem na pożegnanie że cię kocham serdecznie... Ale jednego ani drugiego powiedzieć ci nie śmiem, bo siły twojej osłabiać a swojej wyczerpywać nie chcę... pożegnać cię tylko muszę...

Michalina.

List LIV.

ZYG MUNT DO ANIELI.

Dnia 12 grudnia.

Po raz ostatni i bez zmartwychwstania tym razem, grzebię nadzieje moje Anielo. Szczęście jasne, zupełne, wielkie, jest chyba marzeniem którego urzeczywistnić nie można, a im kto poważniej życie pojmuje, im szczerzej takie pojęcia czci w drugich, tém prędziej i pewniej rozbije się upragnione szczęście jego o przeszkody z tych pojęć wpływające i wymknie mu się z ręki w chwili gdy wierzył że je na zawsze otrzyma. Szczęśliwemi są tylko ci, co nigdy nie spróbowali przejrzeć jaśniej wkoło siebie i szerszy widnokrąg okiem objąć, co w życiu poziome tylko widzą cele i płytkość uczuć do tego poziomu mierzą. Teorya ta, ciąglemi stwierdzana dowodami, jest jak świat starą historiją, ale że teoryami nikt nigdy od cierpienia się nie uchronił, więc życie idzie a cierpienie zostaje i chociaż cierpienie obecnością swoją protest przeciwko życiu zakłada, to protest ten, jak tyle innych równie namiętnych a więcój może sprawiedliwych, uwzględnionym nie bywa nigdy...

O! straszna to rzecz Anielo, ta dola ludzka której zmienne koleje dziś tęczą nadziei świecą, jutro kryją się w całun rozpaczy, w całun tém czarniejszy, im świetniej mieniła się tęcza! Kiedym do ciebie pisał raz ostatni, byłem pewny szczęścia, o ile człowiek czegokolwiek na świecie pewnym być może, a wierząc że im kto cierpliwiej na nie czekać umie, tém przez to godniejszym się go staje, czekałem chwili w której po nie sięgnę jak po świętość i jak świętość czcią w sercu otoczę! I doczekałem się tyle tylko, że zamiast szczęścia... mam rozpacz, zamiast Michaliny co miała mi być towarzyszką i wdziękiem życia, mam znowu życie puste, samotne, tęsknotą i żalem zatrute!...

W odpowiedzi na list mój, po tygodniowém prawie oczekiwaniu, przesłała mi słów kilka, które jak piorun uderzyły we mnie niespodzianie. Jeszcze nie potrafiłem szczegółowego ich znaczenia myśłą rozebrać, gdy już wiedziałem że one są ciosem zabijającym nadzieje moje i całą siłą tego buntu jaki w duchu ludzkim boleść wywołuje bezmierna, zbuntowałem się przeciwko jój woli co mi była śmierci wy-

rokiem. Nie chciała żebym był jeszcze u niej po odebraniu jój pisma: nie zważałem na to, pojechałem do Kniażyna a przez całą drogę, jak człowiek onieprzytomniony gorączką nieszczęścia, nie myślałem o niczém, tylko machinalnie patrzyłem na dziwaczne kształty chmur przesuwających się po bladém niebie zimowém... I przebyłem tam u niej długi dzień cały, dzień w którym ona kolejno aniołem pocieszy-cielem i katem była dla mnie. Nie wiem, nie pamiętam co jój mówiłem, jakiemi słowami prośby starałem się prze-łamać jój wolę, a słowami miłości odebrać jój tę moc prze-konania, którą zbrojna, miłości mojej i prośbom nie uległa Michalina... Powiadam ci, Anielo, nic nie pamiętam, ani słowa... ale musiałem targać za wszystkie struny jój serca, niezważając na nic, na łzy jój; nie zważając ani na straszne zużycie kobiecego serca, pragnąc tylko wymódcz na niej odwołanie wyroku co nas oboje na cierpienie skazuje. I po tój ciężkiej a bezowocnej męce, pożegnałem wreszcie Mi-chalinę, z rozpaczą pożegnałem tę ukochaną moją której nie zobaczę już nigdy...

Cios ten niespodziewany nadaje inny kierunek całemu życiu mojemu. Postanowienie w tój mierze powziąłem już i nic go cofnąć nie zdoła. Jutro wyjeżdżam z Podzamcza, gdzie bawić dłużej nie mam siły, za miesiąc wyjadę z kraju, gdzie życie macoszą chłoscze mnie dłonią. *Nic tu mnie nie trzyma*, żaden nie wiąże *obowiązek*, żadna nie pociąga nadzieja; jadę w świat nowy do Ameryki, z nadzieją że w kraju, który dzięki swojej młodości nie ma wspomnień dziejowych coby na przyszłość jego wpływały; w kraju takim może i ja potrafię zapomnieć tych dziejów własnej przeszłości, których pamięć straszna jest dla mnie męczar-nią. Za dni kilka zobaczymy się Anielo, po to żeby się na długo, na zawsze może pożegnać.

Zygmunt.

List LV.

ZYGMUNT DO MICHALINY.

Dnia 13 grudnia.

Pożegnałem już ciebie, Michalino ukochana, coś miała być szczęściem mojem i dziś jeszcze żegnam cię powtórnie.

Postawiłaś pomiędzy nami dwojgiem zasadę, w imię której rozdzieliłaś nas na wieki, ja między sobą a wspomnieniem o tobie chcę postawić zaporę przestrzeni. Wyjeżdżam w inne strefy, w świat inny, bo tutaj wyżyć nie mogę. Musiałaś uznać w głębi myśli że wola twoja jest dobrą, słuszną i sprawiedliwą, kiedy podług niej postąpiłaś nie chcąc zważać na to, że nie siebie tylko jak powiadasz ale i mnie także na śmierć duchową skazałaś. Znadto cię kocham, żebym przekonania twego szanować nie miał, ale widząc że nie możesz być moją, nie umiem stworzyć sobie *przyszłości*, do wzniesienia której, materyały z *przeszłości* zbierać mi radzisz. Nie Michalino, tego odemnie wymagać nie możesz... nie możesz; nigdy nie mogłaś myśleć że ja który zaszedłem tak daleko, potrafię znowu wrócić do punktu wyjścia, a mówiąc mi że poświęcenie Julii jest dla ciebie przykładem poświęcenia i razem jego rozkazem, nie chciałaś chyba żeby te słowa twoje w czémkolwiek bądź mnie obowiązywać miały. Julia jest idealnie szlachetną istotą, ale ja jej nie kocham... ja tylko ciebie jedną kocham, Michalino i rozkochany a odepchnięty przez ciebie, unoszę z sobą w przyszłość jako skarb mój jedyny, świadectwo miłości mojej, śmiertelną rozpaczą w sercu zapisane.

Zygmunt.

List LVI.

MICHALINA DO ZYGMUNTA.

Dnia 13 grudnia.

Bywaj zdrów Zygmuncie mój ukochany... moja wina zem tak splątała życie nasze, że na szczęście nie ma w niém miejsca. Tój winy mojej uznanie boli mnie tém ciężej, że za nią i ty pokutujesz także... Jeżeli miłością przebaczenie uprosić można, to cię proszę, przebacz mi Zygmuncie. Przebacz mi złamane życie twoje, zwichniętą przyszłość całą i przeszłości gorzkie udęczenia; przebacz mi, że stawiając na równi z innemi ciebie, nie umiałam cię ocenić odrazu, że zamiast brać miłość twoją, chwyciłam inną jak zabawkę, którą wnet potem z rozczarowaniem gorzkim odrzuciłam od

siebie; przebacz mi nadewszystko że cię pokochałam *nie w porę*; i za miłość moją serdeczną zapłać mi zapomnieniem, jeżeli pamięć o mnie rozpaczą i męczarnią ma być dla ciebie.

Michalina.

List LVII.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 20 grudnia.

Już po wszystkim, droga moja Natalio! Odpisałam Zygmunтови... literami pisma prosząc żeby już nie przyjechał do Kniażyna, myślą i serdeczném pragnieniem błagając go by się stał woli mojej nieposłusznym... Tego dnia jeszcze przyjechał, i ten człowiek którego ja przywykłam widzieć tak zawsze spokojnym i panem siebie, tak zbrojnym w wolę niezłomną; ten Zygmunt którego ja tak bardzo kocham Natalio, klęczał mi u nóg ze łzami, z prośbą namiętnie rozpaczną i ze słowami miłości co tyle mi szczęścia przyrzekły! A na łzy, prośby i słowa, jam tylko milczeniem odpowiadała, bo mówić nie miałam już siły... zresztą cóż powiedzieć miałam ja, która zdania mego i woli w tym względzie odmienić nie mogę? Nie wiem które z nas cierpiało więcej... ale chyba tą boleśniej przygnębioną ja być musiałam, bo do serdecznego cierpienia łączyło się we mnie to gorzkie uczucie, że cierpienie własną winą na nas oboje ściągnęłam; do żalu za szczęściem łączyło się smutne upokorzenie żem szczęścia takiego nie warta i chcąc sama siebie sądzić sądem kary sprawiedliwie zasłużonej, musiałam to szczęście odepchnąć od siebie... A że kara przezemnie zasłużona równie ciężką boleścią przygniotła serce Zygmunta, to już nie moja w tém wina. Drogi któremi ludzie chodzą w życiu tak są splątane i ciasne, tak bardzo siebie blizkie, że gdy się z sobą zetkną, gdy jedna drugiej w poprzek stanie, to już jednostki temi drogami chodzące, zarówno szczęściem jak i niedolą oddziaływać na siebie muszą i dlatego téż właśnie, trzeba kierunek swojej drogi obmyślać ostrożnie, trzeba nim iść z powagą wytrwałą, żeby komuś drugiemu w drodze jego nie stanąć zaporą, żeby sobie zawsze zostawić taki

punkt wyjścia, co może wprawdzie doprowadzić do boleści i smutku ciężkiego, ale przynajmniej uniknąć pozwoli straszego wyrzutu sumienia za zwichnięcie cudzej drogi kierunku. Jam tego nie umiała Natalio! i zasłam w jakieś ciemne kraje niezapomnianej za szczęściem żałoby... Z walki między sercem własnym a poczuciem obowiązku, wysłam napozór zwycięzka, ale do głębi mojej istoty złamana i nie tak prędko potrafię odzyskać siły. Są w duchu pewne granice, poza które gdy przejdzie boleść, to się staje trucizną i zepsuciem, wstrętnym rozkładem moralnym, w którym spoczywa zaród wszystkich buntów jakie myśl przeciw Bogu podnosi. Natalio! ja dla siebie nie cierpienia i żalu, ale rozkładu takiego się boję. Ja nie chcę upaść, nie chcę stracić w upadku dumnego poczucia swojej godności, i wszelkimi siłami bronić się będę od tego, by cierpienie moje nie przeszło w rozpacz pogańską, nie było mi trucizny napojem zabijającym... Dziś na nowo rozpocząć mi trzeba życie i tę pracę duchowego rozwoju, która dla wszelkiej myślącej istoty obowiązującym jest zadaniem... inaczej pracować będę nad sobą: treści życia, jego dźwigni i celu, w sercu i przez serce szukać trzeba. Ta pogoda myśli, ta siła wytrwała, co jest przeciwko cierpieniu najlepszą bronią odporną, w sercu więcej niż w rozumie źródło swoje mieć musi; bo kiedy ja miotam się i burzę, to Julia, która zapewne nie mniej musi cierpieć odemnie, spokojna jest i jakimś cichym promienieje majestatem... jój ofiara jest zasługą; jak zasługa anielskiem rozradowaniem goić musi ranę jój serca; moja, kara: to téż mi serce chłoszcze okropnej męczarni biczem... Pod kary dotknięciem uchylam się ze skruchą; jeżeli ze chrztu łez pokutnych powstanę, to już do głębi duszy zmieniona, będę może wszystkim czém dotąd nie byłam: serdeczną i kochającą, w pracy mojej niesamolubną, w działalności użyteczną, w pojęciu obowiązków niezachwianą... ale niestety! już za ich spełnienie szczęściem nagrodzoną nie będę! nawet to ostatnie przekonanie zbawienne *nie w porę* dało mi życie! zdobyłam je sobie cierpieniem. Natalio! czy cierpienie ma być tym mistrzem co sieje w duszę ziarno mądrości Bożej? czy jasne zrozumienie życia w boleści się tylko zyskuje?

Michalina.

